

Cena numeru **30** gr.

nasze małe miasteczko

NIEDZIELA 19 CZERWCA 1938.

Rok XI. Nr. 25. (510)



KRAKOWIANKI I GOTYK

(widok przez „okienko” gotyckie na część podwórca Biblioteki Jagiel.)



SPROWADZENIE DO KRAJU SZCZĄTKÓW ŚW. ANDRZEJA ROBOLI połączone było z wielkimi manifestacjami uczuć religijnych mieszkańców polskich miast i wsi, przez które przejeżdżał pociąg, wiozący relikwie. W ub. sobotę i niedzielę relikwie św. Andrzeja Boboli przebywały w Krakowie, gdzie na Rynku urządzono uroczyste nabożeństwo, a w Barbakanie odbyło się powitanie trumny ze szczątkami świętego. Przez miasto przeciągała procesja, w której wzięli udział liczni pielgrzymi, przybyli z okolicy i z dalszych stron do Krakowa. Przez całą noc z soboty na niedzielę i w niedzielę — relikwie wystawione by-

ły na widok publiczny w kościele Najświętszego Serca Jezusowego, a w poniedziałek rano trumnę ze szczątkami św. Andrzeja przewieziono do Katowic, następnie — do Poznania. Podajemy dwa fragmenty uroczystości krakowskich, a mianowicie procesję na Rynku, przed frontem kościoła Marjackiego, trumnę ze szczątkami św. Andrzeja Boboli na dworcu krakowskim; obok niej duchowieństwo z ks. Metropolita Sapięgą na czele; na trzecim zdjęciu: oficerowie niosą trumnę z relikwiami do Barbakanu; w pierwszej dwójce niosą trumnę: pułk. Madeyski i mjr Rybka.

POD WODĄ I POD LODEM DO BIEGUNA wciąż zamierza dokonać podróży słynny kapitan inżynier Wilkins, który buduje w tym celu nową specjalną łódź podwodną. Trasa jego podróży ma prowadzić z Rosji przez biegun północny, do Stanów Zjednoczonych. Dlatego też Wilkins w tych dniach bawił w Sowieciech — w Petersburgu i w Moskwie — dla odbycia rozmów z rosyjskimi badaczami krajów podbiegunowych i z lotnikami, mającymi doświadczenie w lotach biegunowych (załogę jego łodzi podwodnej mają zaopatrywać w żywność samoloty). Załoga łodzi Wilkinsa składać się ma z 7 ludzi.

BOMBARDOWANIE MIAST HISZPAŃSKICH przez samoloty gen. Franco przybrało w ostatnich czasach rozmiary straszliwe; ofiarą tych nalotów padają po kolei Barcelona, Walencja i inne miasta znajdujące się w posiadaniu rządu madryckiego. Szczególnie gwałtownemu bombardowaniu uległo w ostatnich dniach miasto i port *Alicante*, na południe od Walencji, które raz obrzucono bombami kilkakrotnie w ciągu jednego dnia. Podczas tych bombardowań (które

objęły także oprócz wymienionych miast, port *Gandia*, dzierżawiony od dawna przez Anglików jako port wywozowy dla eksportu jarzyn i owoców z Hiszpanii) zatopiono również kilka okrętów francuskich, a jeszcze więcej angielskich. wskutek czego w Anglii zapanowało wielkie wzburzenie. Słynny polityk angielski, Lloyd George, wygłosił z tego powodu przemówienie, w którym oświadczył: „Ciężko jest dożyć do 76 lat i patrzeć, że flaga wielkobrajtyjska stała się pośmiewiskiem narodów”. To oświadczenie Lloyd George'a obleciało całą Anglię; w sferach rządowych angielskich panuje konsternacja. Do wymienionych portów republikańskich wysłano torpedowce i kontrtorpedowce floty brytyjskiej. Panuje ogólne przekonanie, że bombardowań tych dokonują lotnicy niemieccy na niemieckich samolotach.

CAŁA OSADA SPŁONĘŁA w Lubelszczyźnie, mianowicie Zaklików — od ognia powstałego w piwiarni. Pastwą ognia padło 112 domów mieszkalnych i liczne zabudowania gospodarskie; 700 ludzi zostało bez dachu nad głową.



DZIENNIKARZE U PANA PREZYDENTA R. P. W ubiegły czwartek Pan Prezydent R. P. przyjął członków nowego wydziału wykonawczego Związku Dziennikarzy R. P. Na zdjęciu: Pan Prezydent w otoczeniu dziennikarzy. Stoją od lewej: prezes Witold Gielżyński (I. K. C.), M. Kozłowski („Wieczór Warszawski”),

plk. M. Scieżyński („ISKRA”), Wl. Berslerman („ISKRA”), Pan Prezydent R. P., Z. Piotrowski („Robotnik”), H. Wierzyński („Goniec Warszawski”), S. Zaleski („Kurjer Warszawski”), W. Dunin-Wąsowicz („Kurjer Poranny”), B. Zynger („Nasz Przegląd”).



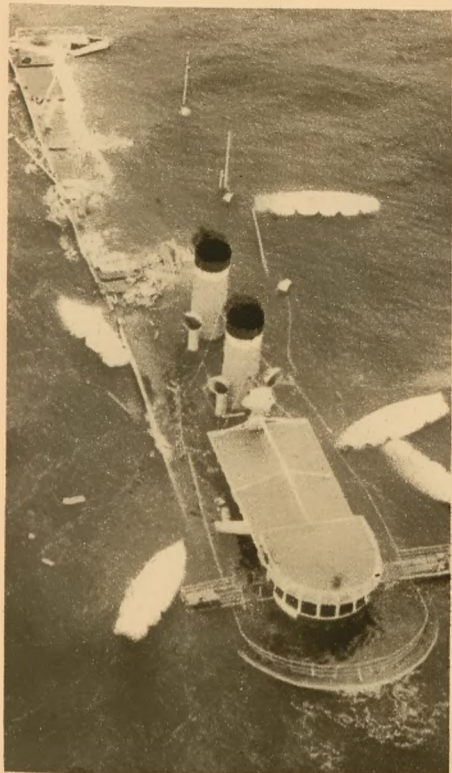
SŁOWACY ŻADAJĄ KATEGORYCZNIE AUTONOMJI. Dążenie mniejszości narodowych w Czechosłowacji do uzyskania autonomji, a nawet do stworzenia z Czechosłowacji jakby nowej Szwajcarii — państwa, podzielonego na kantony, zamieszkiwane przez samodzielnie się rządzących przedstawicieli obcych narodów w Czechosłowacji — zarysowuje się coraz wyraźniej. Po Niemczech sudeckich — stanowczo wystąpili Słowacy, którzy urządzili w Bratysławie wielki kongres zwolenników autonomji. W pierwszy

dzień Zielonych Świąt przemawiał do nich znany działacz słowacki, ks. Hlinka, który zagrzewał swych rodaków do wytrwania i oświadczył, że zapewne z powodu sędziwego wieku przemawia do nich po raz ostatni. Na zjeździe byli obecni delegaci Słowaków ze St. Zjednoczonych, którzy przywieźli — nawiasem mówiąc, na naszym „Batorym” — oryginalną słynną „umowę pittsburską”, w której Czesi zapewniali Słowakom autonomję. Podajemy zdjęcie z tego zjazdu.



JAK SANATORJUM — oczywiście tylko na pierwszy rzut oka — wygląda to nowozbudowane więzienie amerykańskie, Niestety, podczas gdy w krajach skandynawskich więzienia przebudowuje się na szkoły lub kasyna, w Stanach Zjednoczonych buduje się wciąż nowe i coraz bardziej „udoskonalone” więzienia. Tu

przedstawione zbudowano w San Pedro, w stanie Kalifornia, dla 600 mężczyzn i 24 kobiet. Cele biega dokola podwórca, murów — niema, w nielicznych oknach widnieją potężne kraty. Fotografia jednak tego nowego „szarego domu”, z perspektywą morza w głębi, wygląda bardzo malowniczo.



PRZYJOMNOŚĆ UMYSŁU KAPITANA — RATUJE 450 PODRÓŻNYCH. — W czasie niezwykle gęstej mgły, amerykański wycieczkowy statek „Mandalay“ zderzył się ze statkiem „Acadia“; poprosił — nadział się na nią. Kapitan „Mandalay“, zorjentowawszy się w niebezpieczeństwie, kazał prężyć naprzód aż do chwili, gdy wszyscy pasażerowie przesiedli się na „Acadię“, a wówczas polecił cofnąć statek całą siłą pary: „Mandalay“ poszła w ciągu 10 minut na dno! Na zdjęciu: statek „Mandalay“ w porcie nowojorskim, dokoła niego wyrzucone łódzie ratunkowe.

APTEKĘ I LECZNICĘ Z PRZED 2000 LAT odkopła polska ekspedycja naukowa w Górnym Egipcie, z dobrze zachowanymi narzędziami lekarskimi z brązu i kości, oraz słojami i puszkami na lekarstwa z fajansu i kamienia; znaleziono też tam mały model woskowy szkieletu. Polska ekspedycja naukowa w Egipcie pracuje wspólnie z ekspedycją francuską.

19 MILJARDÓW MAREK wynosi obecnie dług państwowy Rzeszy Niemieckiej.

73,144.230 MIESZKAŃCÓW ma obecnie Rzesza Niemiecka po „Anschlussie“, to jest razem z Austrią.

KAPITAŁ ROŚNIE...

Pieniądze, przechowywane w domowych skrytkach, leżą bez pożytku, narażone na kradzież, pożar i inne wypadki losowe.

Oszczędności złożone w PKO, narastają stale, i z dnia na dzień powiększa się Wasz dobytek.

Ponad miliard złotych wkładów — ponad 3 miliony wkładców — ponad 34,5 miliardów złotych obrotu rocznego.

Pieniądze złożone w PKO chroni niewzruszona dewiza

PEWNOŚĆ — ZAUFANIE PKO

Każdy urząd pocztowy jest zbiornicą PKO



„NAGRODĘ MŁODYCH“ w dziedzinie literatury przyznano w tym roku Stanisławowi Piętakowi. Otrzymał on ją z rąk prezesa Polskiej Akademii Literatury, Wacława Sieroszewskiego, na uroczystym posiedzeniu, na którym przyjmowano również nowego akademika literatury, Jana Lorentowicza. P. Piętak otrzymał nagrodę za swą powieść „Młodość Jasia Kufala“. Na zdjęciu: chwila wręczenia nagrody laureatowi; z boku „przyklaskuje“ J. Kaden-Bandrowski.

OGNISTE METEORY NAD SZWECJĄ ukazały się niedawno, jak dopiero teraz doniosło obserwatorium astronomiczne szwedzkie w Lund — w postaci szeregu kul ognistych nad południową częścią Szwecji i nad Bałtykiem. Jedna zwłaszcza z tych kul, przebiegających po niebie z zachodu na wschód, odznaczała się niezwykle jasnością. Kule te ogniste miały jasne warkocze, widoczne na niebie pomimo blasku słońca (ukazały się o godzinie 7-mej po południu) — w półtoręj doby potem ukazały się w nocy. Wiele z nich pękło z wielkim hukiem. Widocznie ziemia zetknęła się z rojem meteorów.

NAJNOWSZY POLSKI BOMBOWIEC — jak donosi prasa — stał się dla całego świata rewelacją z powodu swojej szybkości, sprawności i potężnego uzbrojenia.

NOWE GMACHY POLITECHNIKI LWOWSKIEJ zaczęto już budować, a właściwie rozpoczęto roboty ziemne dla położenia fundamentów. Mają to być gmachy wydziału mechanicznego i elektrotechnicznego Politechniki — pierwsze dwa budynki zawierać będą: mechaniczną stację doświadczalną oraz pracownię technologiczną wraz z obróbką metalu. Razem stanie kompleks pięciu wielkich budynków, wśród drzew pomiędzy parkiem Stryjskim a terenem Targów Wschodnich. Roboty wstępne zaczęto uroczystie, z udziałem przedstawicieli wszystkich władz; po trzech latach budynki mają być oddane do użytku.

STALIN Z AMBASADOREM STANÓW ZJEDNOCZONYCH — odbył dwugodzinną rozmowę, co stało się wielką sensacją polityczną dla całego świata.

CORAŻ POWAŻNIEJSZE STANOWISKA w Stanach Zjednoczonych zajmują Polacy. Tak w ostatnich prawyborach w stanie Maryland, zdobył nominację na „kongresmana“ Polak, *Bolesław Jachimowski*, inżynier okrętowy, urodzony w Chicago; w stanie zaś Michigan, członkowie Związku narodowego polskiego postanowili wysunąć kandydaturę p. *Leona Nowickiego*, dotychczasowego wice-gubernatora tego stanu, na stanowisko gubernatora.



Dla amatora

i dla fachowca zawsze niezbędne są płyty, błony i papiery ERO. Posługując się wysokojakościowymi wyrobami ERO, osiąga się bowiem wyniki doskonałe. ERO nigdy nie zawodzi.



ERO

Chemikalja
ERO
niezastąpione





„Komplecik“ z „Małego qui pro quo“: w środku Znicz, Grossówna, Bogucki, za nimi chór Dana, z boku Olsza.

„OD CZEGO MAMY RZĄD“ w „Małym Qui-pro-quo“

W nowej rewii pod tym tytułem zastanawia się nad tą sprawą w imieniu teatru znakomity komik *Michał Znicz*. Przytacza wiele „trosk i zmartwień” szarego obywatela, jak np. takie:

„Mój sąsiad — skarż go Panie —
ma ostrą radjomanję.
Jak rano płyty hymnie,
to kończy aż na hymnie.
Warjuje, szlocham, zgrzytam:
w kajdany go, pod sąd!
Gdzie konstytucja, pytam?
Od czego mamy rząd?”

Warto także przytoczyć parę strofek z „*Ballady Samochodowej*”, świetnie interpretowanej przez *Olszę*:

„Na Marszałkowskiej, była to środa,
naprzeciw dworca, pod barem Quick

stały dwa auta: mała Skoda
i wielki, dumny, czarny Buick.

On rzucił na nią czuły reflektor,
siedem cylindrów przed nią zdjął,
wewnątrz nastawił radjo-detektor
i czule ją uwodzić jął.

Ona, jak zwykle, skromna maszyna
cała zadrżała od kół po dach
On krzyknął „Och, ty moja jedyna!”
Ona: „O, mój jedyny, ach!”

I wnet pomknęli: on rozpalony
hen do garażu zawiózł ją,
Gwałtem z niej ściągnął wszystkie opony —
kocham cie, krzyknął, i bądź mą!

Potem wszakże nastąpiło „otręźwienie”. Coraz
bardziej jej unikał.

„Raz mówi, że mu... starter nawalił,
raz znów, że zламаł... trzeci bieg”.

Biedna Skoda spada coraz niżej, wkońcu została
taksówką i stoi na ulicy: „po 70 groszy kilometr
tłucze się biedna całą noc”.

Wszystkie zdjęcia wykonał *St. Brzozowski* — Warszawa.

„By rozum był przy młodości” — Grywińska.



Teatr Kameralny w Warszawie: „By rozum był przy młodości” — Liedtke i Grywińska.

Dobry występ *prozą* ma tenże sam *Olsza*. Opowiada *Zniczowi* dowcipy, ale ten ani w ząb: nie zna się na żartach. Stąd takie np. dialogi:

OLSZA: „Mam świetny kawał dla pana. Jedzie ktoś na przednim pomoście tramwaju i pyta motorniczego:

— Proszę pana, przecież na drodze niema nikogo, dlaczego pan bez przerwy dzwoni?

A motorniczy na to: — Bo mnie pięta swędzi”.

ZNICZ: „Ależ to musiało być dosyć dawno. Bo przecież teraz już nie wolno używać sygnałów dźwiękowych i taki motorniczy od razu miałby protokół. I bardzo słusznie, zresztą. Bo niech pan pomyśli — pięta go swędzi! Mógł się przecież w inny sposób podrapać. Szalony egoizm ze strony takiego motorniczego. Nie liczy się z tem, że ludzie mają nerwy poszarpane i hałasuje bez powodu. Człowiek, proszę pana, to dziś kłębek nerwów”.

I tak jest „pojętny” przy każdym dowcipie... W sumie jest to bardzo zabawne.

Tenże *Znicz* ma niemniej zabawny dialog z *Boguckim*. Okazuje się, że żona „*Znicza*” zdradziła go i odeszła do niego, do „*Boguckiego*”. Po ośmiu latach zbolęły jeszcze małżonek spotyka swego następcę i zapytuje go, czy jego żona ma jeszcze i dziś swe dawne przywary, które on dziś wspomina z rozrzewnieniem. Oto próbka tego dialogu:

— Czy wciąż jeszcze dzwoni do przyjaciółki właśnie wtedy, kiedy pan czeka na ważny telefon?

— Oczywiście. I gada conajmniej trzy kwadranse.

— W porządku. I co jeszcze ma potem?

— Pretensje.

— Słusznie. A czy rachunki gospodarskie prowadzi wciąż tak bardzo skrupulatnie?

— Naturalnie. *Pożywienie dla kanarka 15 groszy...*

— *...i drobne wydatki 25 złotych*. Wiem, wiem. Nabazgrane ołówkiem, prawda. Tak, że trudno przeczytać. A czem temperuje ołówek?

— Moją brzytwą.

— *To ona!* W tem jednym jest ona cała! (ociera łzę rozrzewnienia).

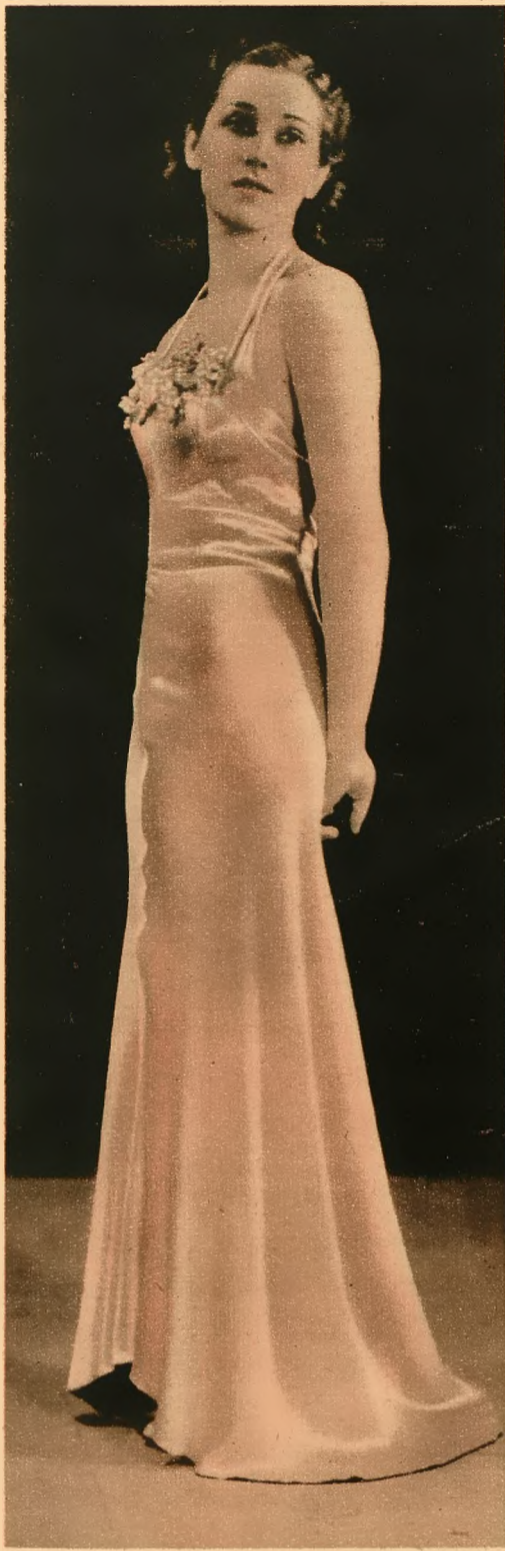
Drugi zabawny dialog prowadzą ze sobą *Grossówna* i *Kamińska*. Są to wrażenia z filmu polskiego. Zabawność jego polega na nieporozumieniach typowo — „głędziarskich”, więc je opuszczamy.

Gdy dodać, że okrasą programu jest ponadto znakomity *chór Dana* i doskonała konferansjerka *Orłowa*, nietrudno zrozumieć, że w „*Małym Qui pro quo*” jest pełno co wieczór i piękne tradycje „kochanej starej budy” są całkowicie już niemal wskrzeszone. *H. L.*

„BY ROZUM BYŁ PRZY MŁODOŚCI” w Teatrze Kameralnym

„Starość — nie radość”, mawiało się dawniej z melancholijną rezygnacją, godząc się z nieodwołalną koniecznością. Ostatnio wszakże „starość” zbuntowała się i upomina się o swe prawa. Ponieważ w naszych czasach przeważnie „*ex America lux*”, więc tam właśnie w Nowym Świecie najpierw rozległ się głos pewnego pana *Pitkina*, głoszącego w swej książce, że „*życie zaczyna się po czterdziestce*”. Wtórzuje mu zaś jego rodak *Raphaelson*, pisząc sztukę pt. „*By rozum był przy młodości*”, wystawioną świeżo w warsz. teatrze Kameralnym.

Tytuł tej sztuki tchnie reminiscencją francuskiego *aforyzmu*, wzdychającego: „*si jeunesse savait, si vieillesse pouvait...*” („*gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła...*”) a ma na celu stwierdzenie, że bieda w tem, iż młodości



Helena Grossówna, doskonała artystka „Maledo Qui pro quo” (fot. St. Brzozowski).

brak doświadczenia, a starość — możliwości... skorzystania z niego. I gdyby sztuka skończyła się na trzecim akcie, teza ła byłaby dowiedziona. Jednakże sztuka ta ma jeszcze akt czwarty, dość nieprzekonywujący i przeważający szalę na korzyść starości lub powiedzmy łagodniej „wieku dojrzałego”.

Nietylko wszakże konflikt młodości ze starością jest osiá wspomnianej sztuki. Jest tu również konflikt życia rzeczywistego z fikcją fantazji dramaturga. Bohater sztuki jest bowiem cenionym autorem dramatycznym. Napisał jednak sztukę, z której jest niezadowolony. Postanawia rzucić wszystko i wyjechać. Wymawia posadę sekretarce, która jest potajemnie w nim zakochana. Gdy ta, zrozpaczona rozstaniem, wreszcie mu swoją miłość wyznaje, autor — odzyskuje wiarę w siebie, bo to wyznanie staje się świeżym i pomysłowym momentem jego sztuki, przywracając jej wartość.

Inna rzecz, że korzysta i poza sztuką z uczucia sekretarki, młodej i pięknej dziewczyny, do niego — 54-letniego pana. Ale oto w sekretarce zakochuje się młody i przystojny amant teatralny, któremu wszakże brak doświadczenia: nie orientuje się w sytuacji. Autor dramatyczny, wytrawny „specjalista”, z miejsca szkicuje mu plan, jakby to uczynił bohater jego sztuki. Tak skutecznie, że sekretarka — pada w objęcia młodzieńca, a autorowi robi się mocno — niewyraźnie na duszy. No, ale w IV akcie jednak sekretarka rzuca młodzieńca i wraca do swego byłego szefa, co jednak nie wydaje się przekonywującym.

Głównym bohaterem aktorskim i reżyserskim przedstawienia jest znakomity artysta, Karol Adwentowicz. Reszta gra nieźle, ale mimo to całkowicie dystansuje ich — własny dyrektor. A więc Grywińska, Liedtke, Kwaskowski i Ziemiński. Ciekawie zarysowała się debiutująca w Warszawie Pytlańska.

H. L.

z NIVEA na powietrze i słońce!

Przed wyjściem wzmocnić skórę NIVEA! Skóra nabiera wówczas odporności nie tylko na działanie intensywnych promieni wiosennego słońca, ale także na ciągłe zmiany pogody, NIVEA zmniejsza przy tym niebezpieczeństwo oparzenia słonecznego i chroni nas przed zaziębieniem, gdy pogoda jest niepewna!

Dlatego ... tylko z NIVEA na powietrze i słońce!

Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w oryginalnych opakowaniach. Dobre i znane preparaty chętnie są naśladowane - przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.

Krem NIVEA od zł. 0,40 — 2,60
Olejek NIVEA od zł. 1. — 3,50

PEBECO Spółka Akcyjna w Poznaniu



z powieści Łatewskiej. MARSZAŁEK ŚMIGŁY-RYDZ WE LWOWIE

JANIS ESENBERGU

TESKNOTA

Patrz, jak rzeczka wolno sączy,
w rzeczce księżyc błyszcząc, legł.
Drzewo z drzewem miłość łączy:
pójdź do serca — takbym rzekł!
I przyjdź, miła, w ciszy sielskiej,
a jak wiosna wnika w kwiat,
w serce wejdź na sen anielski,
księżyc tak się w rzeczce kładł.

Przyjdź tą ścieżką — i podobnie —
nieraz tak już szłaś pod zmierzch,
przyjdź i naucz mnie nadobnie
usta ustom kłaść na wierzch.
W ustach uśmiech drży czerwiennie
róż czerwienią, żądzą róż,
gdy czekają, aby sennie
spadła pszczoła na ich plusz.

Jeszcze w twarzy ognie nieci
pocalunek — jam go czuł!
Tak się w górach długo świeci,
choć już słońce zeszło w dół.
Patrz, jak rzeczka wolno sączy,
w rzeczce księżyc błyszcząc legł.
Drzewo z drzewem miłość łączy:
pójdź do serca — takbym rzekł!

PAULINA BARDA

SŁOŃCE JASKÓLKOM ZNACZY SZLAK

Słońce jaskółkom znaczy szlak,
lecz kto mnie z tobą związał tak,
żeś tylko jeden w świecie?
Jest wieczór, idą zorze już,
a moje słońce nie zna zórz,
dzień się nie kończy przecie.

Nie trzeba myślom więcej nic,
gdy wierna miłość płonie z lic
i żary płomieniste.
Czas płynie, mija życia dzień,
a chociaż przyjdzie Loty cień,
nie zniknie, co wieczyste.

JURIS ALUNANS

WIECZÓR

Zachód słońca, jak uprzejmy uśmiech,
złoci lasy, pola, łąki, siola,
już do ula wraca miodna pszczoła,
wkrótce pastuch z bydlęm w domu uśnie.

Zanim sen powieki światu muśnie,
słowik trele najpiękniejsze zwoła
w zielonego klonu śpiewne koła,
a w tym śpiewie myśl o bólach uśnie.

Wtedy znika nagle groźba nocna
i radością serca lekko ciężę,
a we wnętrzu trzeszczą ognie mocne.

Jak ów słowik, który pieśni wiąże,
chciałbym chwile śpiewu mieć owocne,
byłbym wtedy jak szczęśliwy książe.



Piękne dni Lwowa: powitanie i przyjęcie Pana Marszałka na „Strzelnicy” Miejskiej dn. 26 maja r. b. Na prawo Pan Marszałek, obok wojewoda lwowski dr Alfred Bilyk, naprzeciw w stroju narodowym wita i przemawia prezes „Strzelnicy” Jan Sudhoff, obok z chlebem i solą stoją: gospodarz Czesław Müller i ceremoniarz Józef Walter; za prezesem stoją: król kurkowy Stanisław Kistrzyn i członkowie wydziału: Stanisław Barwik, Jan Jakóbczyński, Edward Zimny.

KARLIS SKALBE

LEŚNA KARCZEMKA

Pod jodeł chłodnym cieniem
sen karczmy tak się snuł:
tam kwarty z ciemnej miedzi,
z młyńskich kamieni stół.

I karczmarz z rudą brodą:
bór, gdy w nim słońca dość,
sam mi posiłek poda —
nie obcy przecież gość.

Z pastwiska dziewczę wraca,
u nóg zwinieły pies.
Gdy ona w oknie cicha,
jakże odchodził chcesz?

RAINIS

ZAMIERZCHŁE CZASY

Tam światło baśniowe wiruje i błyska,
tam w pieśniach harmonja z dźwiękami się ścisła,
nad łąką, nad lasem dziewczynęk pieśń bliska —
od góry do góry kupalne ogniska.

Wokoło bór leży tajemnie i złud,
i góra lśni szklana i zamek u wód,
rusalek złoty wśród trzciny i zarośli,
w księżycu tańczą elfowie rozrośli.

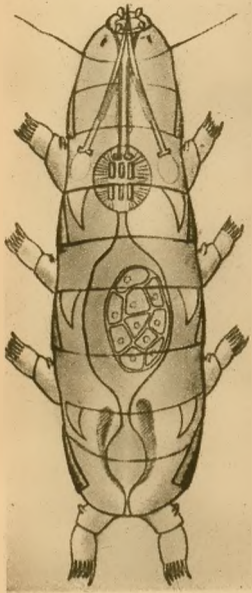
Sieroty wieczorem śpiewają pod tan —
pańszczyzna i srogi nad nimi tkwi pan.
Młyn morski jak żmija porusza się czarna
dla panów to mąkę roznoszą jej ziarna.

Brat jedzie na wojnę, czerwony jest świt,
miecz ostry na wrogów złowrogi dał zgrzyt,
ożyje gród szklany, pradawne zamczysko,
przez dymy, opary wyłoni się blisko,
trójbarwnie ku czterem uśmiechnie się stronom:
niebiesko, zielono, czerwono.

Wszystkie utwory przełożył STANISŁAW CZERNIK.

UŻYWOTNIENIE WSZECHŚWIATA

cuda wytrzymałości organizmów żywych — na Ziemi i poza Ziemią



„Gorący pierwotniak”, czyli tak zw. niedźwiadek (*Thermozodium esackii* — Rahm 1937), żyjący we wrzącej wodzie gorących źródeł Uncen na japońskiej wyspie Kiusiu; obok szkieletu zwykłego „zimnokrwistego” pierwotniaka *Coronosphaera diadema*.

Kiedy mówimy o zdobyciach techniki w ostatnich kilkudziesięciu latach, to przeważnie nasuwa się nam myśl o jakichś udoskonalonych aparatach i urządzeniach, służących bezpośrednio lub pośrednio do polepszenia warunków bytowania ludzkiego na ziemi. Czasem mówi się o zdobyciach techniki także w związku z udoskonaleniem nowoczesnych środków bojowych. Ale bardzo rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jak wiele zawdzięcza sama nauka tym udoskoleniom technicznym.

Po pierwsze więc zasadnicza zmiana poglądów na budowę materii, nowe badania nad rozbijaniem jądra atomowego, badania nad falami elektromagnetycznymi — byłyby niemożliwe, gdyby technika nowoczesna nie dała w ręce uczonemu badaczowi tak udoskonalonych narzędzi pracy, o jakich dawniej nawet nie marzono.

Przypomnijmy jeszcze jeden charakterystyczny fakt. Na wystawie światowej w Paryżu w r. ubiegłym pokazywano aparaty matematyczne i do badań przyrodniczych, będące dziełem jednej fabryki, o tak zadziwiających własnościach, że każdy z tych aparatów mógł być nazwany cudem świata.

W Ameryce również posługują się w pracowniach naukowych aparatami do rozwiązywania równań różniczkowych, ułatwiającymi pracę astronomom i innym pracownikom naukowym, którzy dawniej tracili znaczną część swego czasu nad wykonywaniem tego, co w nauce można raczej nazwać rzemiosłem. Nowoczesne oscylografy, komory Wilsona, rurka Geigera, pozwalają na śledzenie losów najdrobniejszych cząsteczek materii oraz składników atomu. Zapomocą np. oscylografu można uchwycić taki ułamek czasu, którego nawet nie możemy sobie wyobrazić: 1 stutysięczną sekundę.

Nietylko jednak ściśle nauki skorzystały na tych imponujących dokonaniach nowoczesnej techniki. Jest rzeczą ciekawą, że dopiero w ostatnich latach kilkunastu udało się zbadać warunki życia w atmosferze. Wyszyły tu na jaw niezmiernie ciekawe szczegóły. Sądzono przedtem, że w wyższych warstwach atmosfery nie ma wogóle warunków dla istnienia żywych stworzeń. Wiadomo było co prawda, że niektóre zwierzęta i rośliny potrzebują do swojego rozpowszechniania się przestrzeni atmosferycznej; nie umiano jednak nic bliższego powiedzieć o tem, co się dzieje w wyższych warstwach powietrza. Pasteur, który chciał stwierdzić, czy w wyższych warstwach atmosfery żyją jakieś drobnoustroje, musiał w tym celu udać się na wycieczki górskie w wysokie Alpy.

I pod tym względem zupełnie zmieniły się stosunki od czasu, gdy zaczęto badać atmosferę zapomocą balonów, a szczególnie od chwili, gdy do tego celu użyto samolotów. Może się kto z czytelników nawet zdziwi, ale tak jest: samoloty służą także i do badań naukowych, m. in. do stwierdzania, w jakiej wysokości jeszcze się znajdują istoty żywe.

Badania takie przeprowadzono według dra Berga w Ameryce, w Rosji i Francji. Amerykanin Cool używał do swoich badań ramy z siatką drucianą, pomalowaną lepka masą; ramy takie wystawiono ze samolotu w różnych wysokościach, a potem badano to co przykleiło się do tejże ramy. Francuz Bertrand użył do tego celu siatki podobnego do sęci, używanej do połowu węgorzy; zapomocą tej siatki można było zaraz po wystawieniu na powietrze i ściągnięciu z powrotem do kabiny badać zawartość. Okazało się, że do wysokości 2300 m przy każdym locie złowiono do tej siatki mnóstwo owadów dwuskrzydłowych błonkoskrzydłych, przeważnie bardzo drobnych o długości 3—4 mm. Ciekawe było, że owady te same przez się nie odznaczały się wielką wytrzymałością lotu, a mimo to unosiły się w powietrzu całymi lawicami i rojami. Biologowie tłumaczą to tem, że owady te uniosły na tak znaczną wysokość wiatry, którym nie mogły się przeciwstawić.

Tak samo zresztą w tych znacznych wysokościach chwytało nitki babiego lata, a nawet źdźbło trawy.

Obecnie dzieli się atmosferę pod tym względem na dwie strefy: dolną strefę, sięgającą do 300 m wysokości nad ziemią; tu znajdują się owady, które zazwyczaj nie opuszczają ziemi albo też umieją przeciwstawić się wiałrowi. Powyżej 300 m jest górna strefa planktonowa, gdzie znajdują się już tak dżobne ustroje, że poddają się każdemu podmuchowi wiatru.

O wiele większe trudności były do pokonania przy badaniach nad rozpowszechnieniem drobnoustrojów w powietrzu, a więc bakterij, pyłków roślinnych, przetrwalni-

ków drobnoustrojowych (spoz) itd. W tym wypadku otrzymywano dodatnie rezultaty do wysokości aż 7060 m. I te drobnoustroje pojawiały się w powietrzu całymi chmurami. Nawet podczas lotów stratosferycznych udało się schwytać na pożywkach drobnoustroje, należące do bakterij i do grzybów. W jednym przypadku nawet na wysokości 21800 m zdołano schwytać żywe bakterie na pożywkach; inni jednak badacze temu zaprzeczają. Lecz wiemy skądinąd, że to mogą być sprawy wiatru. Zdarzyło się, że podczas wiatrów od morza stwierdzono obecność bakterij morskich na lądzie stałym w odległości 50 km od morza. I odwrotnie — zauważono drobnoustroje lądowe w odległości 200 km od brzegu.

Pozostaje zagadką: jakim sposobem w tak niesłychanie trudnych warunkach, przy temperaturze minus 60 stopni i braku wszelkich pożywek organicznych, mogą utrzymać się przez długi czas przy życiu takie drobnoustroje?

Ale takich zagadek i cudów odkrywa nowoczesna nauka biologiczna przy pomocy potężnych narzędzi techniki coniemniara. Prof. uniwersytetu japońskiego w Kobe, dr Rahm, który przeprowadzał badania w pobliżu gorących



Gorące źródła w miejscowości Beppu w Japonii: na fotografii widać we wrzącej wodzie „pomnik djabła”, gdyż według podania, znaleziono ongi w tych źródłach podobno „szkielet djabła”; oczywiście był to szkielet jakiegoś nieznanego zwierzęcia.



W gorących źródłach japońskich w Beppu, praktycznie Japonki gotują jaja na twardo bez kosztów.

źródeł japońskich, zwraca uwagę na niezwykle szerokie granice, w jakich mieści się ten stan, który nazywamy życiem. Istnieją co prawda normalne warunki dla każdego żyjątko, t. zw. optymalne. Ale bardzo wiele żywych organizmów ma dziwną wytrzymałość i zdolność przystosowania się, mogą one istnieć w warunkach daleko odbiegających od normalnych. Przeważnie żywe ustroje najlepiej się czują w pewnej określonej temperaturze i w pewnym klimacie. Są jednak między nimi „kosmopolici”, którym klimat jest obojętny: wszędzie dobrze się czują.

Co więcej: jak stwierdzono w słynnym laboratorium dla niskich temperatur prof. Kammerlingh Onnesa w Leydzie, gdzie uczeni chcą koniecznie otrzymać możliwie najniższą temperaturę minus 273 st. C. czyli t. zw. absolutne zero stwierdzono „przy okazji”, że wiele drobnych zwierzątek, już wielokomórkowych, a nawet robaków, czuje się doskonale w tych niskich temperaturach. Wyprawiano z temi zwierzątkami prawdziwe harc: z tego potwornego zimna przeniesiono je od razu do temperatury wyższej o 490 stopni C. — i zniósły one ten przeskok bez żadnych ujemnych następstw.

Myślano np. zawsze, że zamrożone morza podbiegunowe nie zawierają żadnych drobnoustrojów. Tymczasem wyprawa Shackletona do bieguna południowego wykazała, że w wodzie znajduje się cała t. zw. mikrofauna, która wykazuje energiczne objawy życia, gdy tylko lód ten stopnieje. Znajdują się tam zwierzątka (co prawda należące do nisko organizowanych), które jak się okazuje wytrzymują nieraz kilka lat stan zamrożenia, ażeby wreszcie doczekać się szczęśliwego momentu, gdy raz na parę lat przy stopieniu lodów mogą załatwić swoje sprawy życiowe...

Lecz nietylko wiele drobnoustrojów znosi niskie temperatury tak dobrze. Wiele z nich czuje się dobrze w temperaturach tak wysokich, w których białko (będące

przecież podstawowym budulcem ciała tych drobnoustrojów) już dawno powinno się ściąć i skrzepnąć, jak białko jaja kurzego podczas gotowania. W amerykańskim Yellowstone parku odkryto niedawno glony i bakterie, żyjące w temperaturze 89 stopni. W Japonii żyją w pobliżu wulkanu Fudzi San (Fudzijama) glony na wysokości 3663 m w pobliżu gorących źródeł, które się tam wydobywają. Temperatura jest tam tak wysoka, że glonów nie można było wziąć do ręki, tylko trzeba je było zdrapywać łaską; mimo to te glony żyły.

Nowocześni biologowie posługują się jeszcze innymi środkami technicznymi do zbadania nieprawdopodobnej wytrzymałości protoplazmy, tj. tego organicznego białka, którego szczególny stan koloidalny stanowi podłoże wszystkich procesów życiowych. Prof. dr Ebbecke poddał pchły wodne (dafnie) ciśnieniu 500 atmosfer; wytrzymały one to ciśnienie, nie ponosząc szwanku. Do tysiąca nawet atmosfer wytrzymują niektóre z żywych ustrojów, gdy znajdują się w stanie t. zw. „anabiotycznym”. (Anabiozą nazywają biologowie stan ulajonego życia, w którym organizm jest niemal zupełnie wysuszony, jednakowoż nie pozbawiony jeszcze zupełnie wody, która jest podstawowym składnikiem białka). Dopiero gdy przez ogrzewanie do temperatury ponad 100 stopni przez czas dłuższy i ta reszka wody wyparuje, następuje śmierć tych drobnoustrojów, które są tak „termofilne”, czyli „lubią” wysoką temperaturę.

W danym stanie anabiotycznym wytrzymują zwierzęta także i inne działania zewnętrzne. Przeprowadzono np. badania przy użyciu promieni Röntgena, ultrafioletowych i radjowych. Trzymano te żywe istoty, pogrążone w „śnie” anabiotycznym w próżni — a nie dano się życia z nich wypędzić. Znane są poza tem liczne bakterie, które prowadzą normalny żywot w pewnych płynach, działających zazwyczaj bakterjodójczo. Podajemy tu np. (za dr Eisenbergiem) fakt, że fenol (kwas karbolowy), toluol i ksylol mogą być przyswajane przez pewne gatunki bakterij.

Takich przykładów można by naliczyć mnóstwo. Nie więc dziwnego, że wielu uczonych wyciąga kosekwencje z tej niezłomności niektórych organizmów i wraca do zapomnianej już teorii słynnego fizyka szwedzkiego Svante Arrheniusa o tzw. „panspermji”. Nie wykluczają więc oni możliwości, że drobne zarodniki mogły z ziemi przedostać się na inne ciała niebieskie i że wobec tego, zjawiska życia nie są związane wyłącznie z samą kulą ziemską. Na to inni znów odpowiadają, że i tak nie można wykluczyć istnienia żywych organizmów na innych planetach i gwiazdach, chociaż tam panują zupełnie inne warunki niż na ziemi. Granice bowiem życia są bardzo rozległe, zarówno pod względem fizycznym, jak i chemicznym.

Trudność jednak sprawdzenia polega na tem, że sama podróż z ziemi na inne, choćby najbliższe gwiazdy, musiałaby trwać o wiele dłużej, aniżeli, według przypuszczeń, trwa wszelki żywot jakiegokolwiek organizmu na ziemi. Opowiadanie o ziarenkach pszenicy, które podobno znaleziono w piramidach egipskich, a które po wielu tysiącach lat wyrosły, gdy je zasiano, dziś należy włożyć między bajki. Mimo to jednak ludzie chcą w takie bajki wierzyć, szczególnie w Ameryce. Ostatnio kursuje tam nowa plotka, jakoby w kraterze słynnego meteorjtu w Arizonie znaleziono żywe organizmy, będące pochodzenia pozaziemskiego. Narazie nie można tego przyjąć za pewnik. Faktem jednak pozostaje stwierdzenie, że przystosowanie się protoplazmy do najtrudniejszych warunków. Cud życia pozostaje jeszcze ciągle największą tajemnicą — i ta cudowność jest najlepszym argumentem „używośnienia” wszechświata.

Inż. J. A.



„Gorące fontanny” — jedno z najcudowniejszych widowisk natury w amerykańskim Yellowstone-parku; gorące te źródła wytryskują perjodycznie z punktualnością co do minuty, a kolumna wrzącej wody sięga do wysokości 36 metrów.

Kazimierz Wiehler

Nowela

DZIWIWA HISTORJA

Zdarzają się czasem rzeczy dziwne, tak dziwne, że wierzyć się nie chce w ich prawdziwość. Jedną z takich historyj pragnę opowiedzieć.

— Kiedy zwiedzałem Jekaterynburg — uwagę moją przykuł pewien dom, który zresztą nie różnił się od innych.

Spojrzałem w jedno z okien i... fantazja moja stworzyła to, co opisuje.

Profesor Szarkow, stary kawaler i znany w mieście dziwak, wróciwszy do domu — zastał swoją gospodynię na podłodze, w kałuży krwi. Lekarz zwyciężył w nim zwykłe w takich razach uczucie ludzkie, więc ukląkł i stwierdził już tylko śmierć Nataszy, która była mu nie tylko gospodynią.

— Ty nie żyjesz, Natasza? — zawołał drżącym głosem. — Dziwne! Nigdy cię przecież tak bardzo nie kochałem, a tak mi teraz... żal...

Straszny fakt zwrócił na chwilę bieg jego myśli w przeszłość. Lata... miesiące. Spojrzał na twarz okrwawionego trupa.

W szklanych żrenicach zamordowanej zastygł bezgraniczny przestrach. To nie był pacjent na stole operacyjnym. Odczuł chłód pod palcami...

— Jeszcze dziś rano tak się na koniec pokłóciliśmy. — Ktoby się był spodziewał?... Były przecież i chwile mile... Kiedyś...

Miewał złudzenia domowego szczęścia, mimo jej braku kultury...

Dotykał trupa rękoma, głaskał po twarzy, po włosach, jak niegdyś.

Obok leżała domowa siekiera. Ujął ją w dłonie.

Więc *tem* cię zabito? — pytał, jakby od trupa mógł otrzymać odpowiedź. Ta siekiera, którą codziennie rąbałaś drzewo...

Nagle przyszło mu na myśl, w jakim celu Nataszę zamordowano. Wrogów przecież nie miała. Przeciwnie ze wszystkimi żyła w zgodzie.

Zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Wszystko było w zupełnym porządku, nie znać było śladów kradzieży.

Trzeba jeszcze zobaczyć w biurku...

Podbiegł, otworzył. — *Jezus Marjo! Gdzie rękopis?!...*

Zbrodniarz ukradł mu jego pracę już na ukończeniu; dzieło, które miało przynieść ulgę tysiącom nieszczęśliwych, a jemu — sławę, majątek. Dzieło, nad którym pracował całe życie; dla którego wyrzekł się tyłu rzeczy...

Tyle lat strawionych wśród nadludzkiej pracy, tyle lat życia...

„Nowe sposoby leczenia raka“.

Nikt o tem nie wiedział, jeden tylko asystent, „rudym“ nazywany. Kiedyś bowiem znalazł w notatniku profesora poczynione spostrzeżenia, a z nich domyślił się wszystkiego.

Teraz dopiero profesor Szarkow skoczył do drzwi, alarmując sąsiadów.

Na rozprawie sądowej tak zeznawała sąsiadka: — Bo to, niby prośbę Wysokiego Sądu, awantury to tam bywały często, a zawsze to o ten to ślub... Ja sama nieraz mówiłam, niby do nieboszczki: Tak cóż ty, kochana gołąbko, Nataszko tak w grzechu ciężkim żyć będziesz do śmierci z tym starym, moja miła?! — A ona, niby Natasza — przez to bardzo cierpiała. Taaak. — A już w dzień, kiedy się stało — to wielka, bardzo wielka awantura była. Taaak. Panie Boże mój! Bywać nikt u nich nie był, bo pan Szarkow — wiadomo — dziwak był i złem okiem na wszystkich patrzył. Nawet listonosz i to u dozorecy listy zostawiał.

Pan prokurator użył z całą bezwzględnością wszystkich dowodów obciążających, których nie brakowało, jak: ślady palców Szarkowa na siekierze, na kłance, na twarzy zmarłej i wiele innych.

— Oskarżony opowiadał nam tu bajeczkę o swem dziele naukowym... W to przecież chyba nikt nie uwierzy. Czyż można sobie wyobrazić uczonego, któryby nigdy z nikim nie dzielił się myślami, a choćby tylko przypadkiem nie zdradził się z postępu swej pracy?! O dziele profesora Szarkowa nikt dotychczas nie wiedział, nikt nie słyszał. Mówi nam o niem sam, bo... — *musi* coś mówić... A nieszczęsna ofiara zbrodni, za jakiego stanowczo uważam oskarżonego — nie powie, gdyż... — nie żyje...

W kilka lat później, kiedy już o zbrodni zapomniano, w jednym z zagranicznych uniwersytetów otrzymał katedrę młody lekarz za dzieło pod tytułem „Nowy sposób leczenia raka“. Podobiznę młodego uczonego zamieściły wszystkie pisma (rudego!), sławiąc nazwisko dobroczyńcy ludzkości.

...Taką opowieść stworzyła moja fantazja.

W owem mieszkaniu, które jakby zahypnotyzowało mnie swem oknem — ujrzałem tylko oczami wyobraźni kobietę na podłodze w kałuży krwi i... wykradającego się, rudego mężczyznę, z plikiem papierów w kieszeni. Opowieść o tem zamierzałem snuć na stu czy dwustu stronicach książki.

Poczyniwszy już powyższe notatki, po kilku godzinach uczulem nieprzpartą chęć zaczerpnięcia wiadomości o kamienicy, a raczej o mieszkaniu, którego okno przemówiło do mnie tak niesamowicie...

(dokończenie na str. 15-tej).



Ten układ kart najlepiej wskaże każdemu drogę do bogactwa
Kol. Lot. J. WOLANOW
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 154. Konto P. K. O. 18.814

Wielki Konkurs z nagrodami

KONIAKU
STOCK

Przedmiot konkursu: Do jakiego celu służy i kiedy używa się Stock Koniak Medicinal? Na przyjęciu gości, w restauracji, w wesołym towarzystwie, do sporządzenia znakomych cocktailów; w sporcie, na polowaniu, na wycieczkach, w górach, w podróży, na letnisku; również podczas choroby i przy rekonwalescencji. Stock Koniak Medicinal jest także znakomitym przedmiotem dla podarunków. Używa się go także w kuchni do sporządzenia pierwszorzędnych legumin, pije się go z mlekiem lub herbatą i t. d. Przy tym konkursie wymaga się zdjęć fotograficznych, które przedstawia obrazowo w zwięzłej i odpowiadającej celowi formie jedną z wyżej naprowadzonych możliwości użytkowania Stock Koniak Medicinal. Pożądane są tylko amatorskie zdjęcia fotograficzne, o ile możliwości nie retuszowane.

Fotografie artystyczne i fotomontaże nie będą dopuszczane do konkursu, natomiast przyjmuje się zamiast zdjęć fotograficznych również rysunki odręczne.

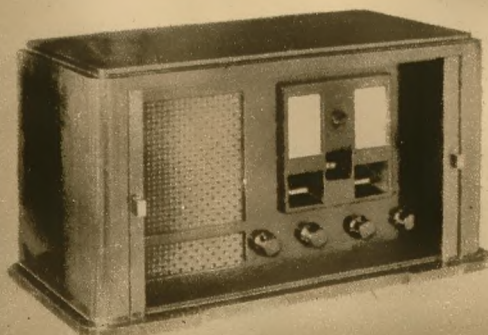
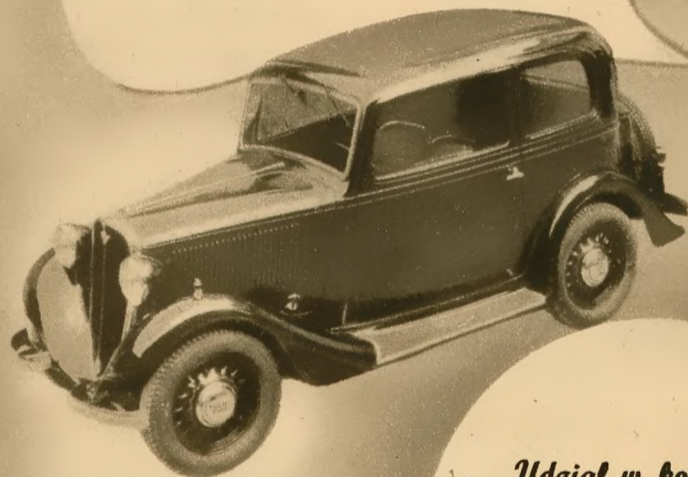
Czas trwania konkursu: W czasie od dnia 16 maja do 15 września 1938 r. zaopatrzone będą wszelkie butelki (a więc i najmniejszej pojemności) znanych artykułów „Stock Koniak Medicinal“ i „Stock Koniak Extra“ w prospekt i kupon, który upoważnia do uczestnictwa w konkursie i zawierał będzie wszelkie wyjaśnienia. Zdjęcia fotograficzne, jakoteż rysunki wpłynąć muszą najpóźniej do dnia 15 września 1938 roku.

1 Samochód-kareta POLSKI FIAT, typ 508

2 Maszyna do pisania „EFKA“

3 Aparat fotograficzny „Rolleiflex-Automat“

4 Radioodbiornik „ECHO“

50 nagród pocieszenia
po 1 oryginalnej butelce Stock Koniak Medicinal
i po 1 litr butelce likieru Stock Bonifacius.

Udział w konkursie:

Blizsze szczegóły podane są w prospektach przyczepionych wraz z kuponami do każdej butelki Stock Koniak Medicinal i Stock Koniak Extra podczas całego trwania konkursu.



Piekła żółtych ludzi

Nadrzeźna dzielnica Kantonu — obok japońska maska grozy.

Na lewo: Żołnierz japoński (pomimo „bolszewickiej” gwiazdy na helmie).

Jeszcze do niedawna wyobrażaliście sobie zapewne, na podstawie znanych smutnych doświadczeń, że nasz mały kontynent ma w ostatnich stuleciach przyswilię — najkrwawszych i najbardziej niszczących wojen. Do niedawna było to prawda. Jednakże ostatnie stadium wojny chińsko-japońskiej — jeżeli tak można nazwać prawie konwulsyjne drgawki obrońców najejanych Chin — ukazało światu, że *nowoczesna* wojna na dalekim Wschodzie azjatyckim stała się dopiero prawdziwym piekłem.

Wojna żółtych ludzi — przeciwko żółtym ludziom: co jednak łączy właściwie, prócz koloru skóry i jakiegoś dość dalekiego podobieństwa rysów, obecnych najeźdźców z mieszkańcami Chin? Chyba *bezwzględność wojenna*, którą Japończycy zdążyli wykazać w wyższym jednak stopniu, niż biali Europejczycy — oraz „*azjatyckie*”, to znaczy *gigantyczne wymiary* dotkniętego najeźdźcą kraju z jego gigantycznym również gęstym przeszło 400-miljonowej ludności. Dzięki tym dwóm czynnikom, wojna na Dalekim Wschodzie przybrała już rozmiary *żywiłowej katastrofy*.

Przez jakiś czas zdawało się, że przeciw Chińczykom zdolali jakoś zorganizować obronę. Czang-Kaj-Szek zgromadził istotnie kilka wielkich armij, jako tako naprzęde wyćwiczonych i wyekwipowanych. Przez kilka tygodni pomiędzy tą armią a armiami japońskimi „zanosiło się” wciąż na decydującą bitwę, trwały manewry strategiczne. Wreszcie Japończycy zakończyli swoje ruchy i do tej bitwy doszło. Zakończyła się ona wielką klęską Chińczyków — a odłód zaczęło się piekło przedewszystkiem dla wszystkich miast chińskich.

Japończycy postanowili wymusić rozstrzygnięcie na Chińczykach przedewszystkiem *terorem lotniczym*, skierowanym przeciwko wielkim miastom chińskim, które je-

szcze nie dostały się w ich ręce. W pierwszym szeregu znalazł się *Kanton*, wielka stolica południowych Chin. Po pierwszym groźnym nalocie, który dotknął także europejskie (przedewszystkiem *angielską*) koncepcje w Kantonie. Anglicy wystąpili z protestem przeciwko „bombardowaniu otwartych miast”. Protest ten nie miał żadnej mocy wstrzymującej. Naloty japońskich bombowców szły dzień za dniem, potem po kilka razy dziennie, eskadrami po kilkadziesiąt samolotów, aż do 6 nalotów jednego dnia. Po pierwszych ośmiu dniach rezultaty: 8500 ludzi zabitych, drugie tyle rannych — połowa Kantonu w gruzach, całe dzielnice ogarnięte pożarem. A potem naloty dalsze, jeszcze straszniejsze. Kanton w połowie przestał istnieć — i zagrożony jest śmiercią. Rozpoczęła się paniczna ucieczka ludności: sto tysięcy, potem dwieście tysięcy. Właściwie wszyscy mieszkańcy Kantonu muszą go opuścić, wydano bowiem na nich wyrok śmierci. W odpowiedzi na protesty mocarstw europejskich, dyrektor japońskiego wojennego biura prasowego, zaprosiwszy zagranicznych dziennikarzy, złożył następujące oświadczenie:

„*Japońscy lotnicy będą w dalszym ciągu bombardować Kanton i Hankou z coraz większą energią, aby — do wódzstwa chińskiego zdało sobie sprawę z zupełnej bezradności wszelkiego oporu wobec japońskiej armii...*”

Oto wszystko — krótko i jasno. Nastąpiła potem tylko ta zmiana, że Japończycy *rozszerzyli teren*, który „*poddawany będzie coraz silniejszemu bombardowaniu*”. Objęto nim także miasto Swatow i ogłoszono, że *całe południowe Chiny stały się teraz „terenem wojennym”*. Prawdopodobnie zaś w najbliższym czasie nastąpi wielki japoński atak na Kanton — z wyspy Formozy, gdzie już od dłuższego czasu skoncentrowała się większa część japońskiej floty wojennej i lotnictwa bombardującego i dokąd przywieziono także z Japonji w ostatnich dniach wielkie transporty żołnierzy.

Koniec z Chinami, albo koniec Chin — zawyrokowali żółci ludzie z wysp. Państwo chińskie ma przestać istnieć, albo podda się kierownictwu Japonji, która dopiero wtedy przygotowuje Chiny i cały świat żółtych ludzi do naprawdę wielkiej wojny. Przeciw komu? Czy też może ta wielka wojna nie nastąpi?

Jednocześnie w środkowych Chinach trwają dalsze operacje armji japońskiej. A Chińczycy uciekli się do aktu najwyższej rozpacz: *zrywając wielkie tamy na rzekach Żółtej i Niebieskiej w sercu Chin — tamy, stanowiące dzieło wielu pokoleń, zapewniające wyżywienie kraju — aby zatopić obszary, na których operują najeźdźcy japońscy. Najeźdźcy może zginą — ale wraz z nimi zginą także setki tysięcy Chińczyków. Tak wygląda piekło ludzkiej nienawiści i okrucieństwa. Pożar wojny gasi się potopem...* James Crane.

Pożar zbombardowanych dzielnic w Kantonie — zdjęcie z samolotu z wielkiej wysokości.



DUCH KOCZOWNICTWA

pewnego stopnia oklepamy — ale niemniej niezaprzeczalny. Pęd albowiem do wędrowki jest naturalnym instynktem, odżywającym się w każdym człowieku, najbardziej z dziada pradziada „osiadłym”. Niema zresztą powodu dziwić się naturalności tego instynktu: czyż tak dawno ludy europejskie zaprzęstały swych wielkich masowych ruchów przesiedleńczych, które historia obejmuje nazwą „wędrowki narodów”? Dopiero około X wieku po Chrystusie, a więc zaledwie tysiąc lat temu, ruchy te na dobre ustały. A to zaś znaczy, ile — czterdzieści czy może trzydzieści pokoleń wstecz?

A przedtem trwały również około tysiąca lat — wciąż mówimy tylko o wędrowkach narodów europejskich. Dzięki tym wędrowkom jakie dwaście wieków temu prawie cała Europa środkowa i zachodnia, otrzymała stopniowo nową ludność, złożoną z plemion i szczepów wlewających się do Europy przez wielką bramę: rozległe stepy między Wołgą a Dnieprem i Dniestrem. Fale tej nowej ludności załazy prawie całkowicie dawnych tubylców, słosunkowo zresztą nielicznych, zmieszaly się z nimi (nie raz i nie dwa), wytwarzając nową rasę, czy nowe rasy.

Rzecz to ciekawa: jeżeli kto w Europie może chlubić się „*prawdowością*” swego tubylczego pochodzenia i utrzymaniem względnej „czystości krwi”, to najbardziej chyba fińsko-mońgolskie plemiona na północnym wschodzie Europy, w Laponji, w północnej Finlandji, oraz jakieś reszki europejskich autochtonów w rodzaju *Basków* na pograniczu Francji i Hiszpanji.

Oczywiście, że i *śródtłannomocy* na południowych półwyspach Europy są dawnymi

swych ziem tubylcami — ale ileż to wędrowek i jak różnych plemion przeszło przez nich i po nich, zmieszało się z nimi, wpłynęło na zmiany cech fizycznych, ustrojów społecznych itd.! Względnie „*najczystszy*” pozostali naprzykład na Bałkanie tacy *Albańczycy*, dzięki swemu „*tubożu*” od dróg cywilizacji.

Oglądana z perspektywy tysiącleci jest to najbardziej malownicza część historii: pierwsze tysiąclecie naszej ery było jokby nieustającym kalejdoskopem ciągłych zmian, napływania coraz to nowych fal przybyszów. Jedni druziej niejako *popychali* ku zachodowi i na północ, rozlewali się po coraz to innych obszarach, osiadali na nich na jakiś czas; po paru setkach, a nawet czasem po kilku dziesiątkach lat, opuszczali je dobrowolnie lub pod parciem nowej fali i tworzyli nowe społeczeństwa, nowe państwa, zdobywając i ruinując to, co zastali na miejscu przybycia, aby sami z kolei ulec następnym...

Niektóre ludy czy plemiona osiągnęły w tych wędrowkach prawdziwe rekordy, jak germańscy *Wandalowie*, których nazwa stała się synonimem niszczyli. Przebiegli oni całą prawie Europę, od krańca do krańca, aż po południowy cypel Hiszpanji. Stamtąd przedostali się do Afryki i na miejscach, gdzie była kiedyś Kartagina, założyli własne państwo w pierwszej połowie V wieku po Chrystusie; a była ich garsteczka — niecałe sto tysięcy ku końcowi. „*Wandalami*” stali się, ponieważ po drodze walezyli ze wszystkimi i burzyli wszystko — lembardzkiej, że byli odzszepiećkami prawowierne, katolickiego chrześcijaństwa. No i to ich państwo zresztą nie przetrwało nawet półtora wieku.

(dokończenie na str. 13-iej).

Trójka jeźdźców wędrownego cyrku — także przedstawiciele ducha koczowniczego.

Wielokrotnie próbowano *przyswilić nomadów* — tak pisze historia kultury — do życia *osiadłego, ale usilowania te rzadko wnieśli pomyślny skutek*. Oczywiście — „*przyswilić*” jest drugą naturą”. A ludy koczownicze, które do dziś dnia zachowały do koczownictwa smak, miały czas do przyzwyczajenia się: wszak tysiące lat to robia, nie zważając na to, że w ten sposób same kwalifikują się do kategorii „*barbarzyńców*”.

Przeważnie zmusza ich zresztą do tego przyroda; koczownicy na przykład, którzy jeszcze dotąd na dalekiej północy Europy oraz Azji ze swemi stadami renów przenoszą się z miejsca na miejsce, kierując się tylko względami na wyżywienie tych stad — inaczej żyć poprostu nie mogą. Z koczownikami po stepach środkowej Azji, aczkolwiek warunki klimatyczne są tam odmienne i stada ich nie z renów się składają, lecz z owiec, jest mniej więcej tak



samo. Natura — zarówno w sensie przyrody ich otaczającej, jak ich własnej „*natury*” — ciągnie ich z miejsca na miejsce, zbyt skąpo mając darów, aby osiedlonych w jednym miejscu wyżywić mogła. Być może, że i oni zostaliby „*rolnikami*”, gdyby było na czem gospodarzyć... Ale co tu się dziwić koczownikom, że tak powiem urzędowym — jeżeli ludy od dawna rolnicze, od dawna osiadłe, ba, na wysokim stopniu cywilizacji stojące — jeszcze w sobie tego poczują do koczownictwa w zupełności nie zatracili? Coś nam wszystkim zostało we krwi, po prapradziadkach i jeszcze dawniejszych przodkach, że od czasu do czasu każdego „*podrywa*”, aż by gdzieś wyjechać, „*przetrzasać się*” po świecie, pokoczować trochę, chociażby w chłopsko-mazowieckiej lub chłopsko-podhalańskiej chatupie czy szalasiu. Jest to fakt dawno stwierdzony i nawet do



W kole: Odpoczynek „*do-czesnego tulaacza*” — amerykańskiego trampa.

Nowoczesni koczownicy europejscy — „*camping*” — „*samochodowy*”.

KOCHANKA

z czerwonych miast

OBYCZAJOWY ROMANS WSPÓŁCZESNY NA TLE REWOLUCJI

BOGDAN GRZYMAŁA-KAMODZIŃSKI

17 CIĄG DALSZY

Jęk dźwigał się z takich zjaw. Rozpacz zabijała duszę. Niżys zaczął marzyć o śmierci. Bawił się rewolwerem z rozkoszną myślą, że przeciw ten przedmiot mógłby raz na zawsze położyć kres męczarni. Zbliżał czarny przedmiot do skroni. Palec opierał się na języczku spustowym. Jeszcze sekunda i wbije się w głowę dobroczynna kula. Wtedy stawały w źrenicach postacie matki i brata — nieublagana konieczność życia.

Którejś nocy dał się słyszeć odgłos kroków kogoś przechodzącego tuż pod oknami gabinetu. Niżys, pogrążony w tępej zamyśleniu, otrząsnął się z owego pół snu, pół jawy i zbliżył się do okna. Zgasił światło. Odsłonił firankę i otworzył lufcik. Było wyraźnie słyhać kroki, lecz już dalekie. Wtedy wyszedł z karabinem na dwór. Przechodząc przez kuchnię, zastanowił się: czyby nie warto było zbudzić któregoś ze śpiących ludzi. Jednak odstąpił od tego zamiaru.

NOCNE PRZYGODY

Zamknął na klucz drzwi sieni od strony zewnętrznej i szybko skierował się w kierunku, gdzie spacerował tajemniczy osobnik. Lecz naraż usłyszał wyraźnie, że ktoś idzie przed nim, ktoś, kogo on nie widzi, choć ten znajduje się w odległości najwyżej kilku metrów. Zawołał, by tamten człowiek zatrzymał się, ale ów nie stanął, ciągle posuwając się naprzód. Niżys nie strzelał, nie wiedząc kogo ma przed sobą. Zaczął iść za niewidzialnym, doświadczając uczucia nie strachu, bo w danym czasie nie mógł niczego na świecie się bać, ale jakiegoś przenikniętego zimnem zdziwienia. Noc była jasna, widać było wszystko na znacznej przestrzeni, tymczasem idący tuż przed Niżysiem pozostawał wciąż niewidoczny.

Przybiegły psy podwórzowe, jęły się lasić, nie okazując najmniejszego niepokoju. Niżys pomyślał, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Psy kreśliły się nadal u nóg, pomimo, że szczuł niemi kroczącego nieustannie człowieka, czy ducha. Działo się coś niepojętego. Miarowy stuk kroków wiódł go w kierunku stajni koni cugowych.

Niżys w pewnym momencie stanął, wsłuchał się w odgłos stapania. Tak, nie ulegało wątpliwości — ktoś szedł przed nim śmiało, głośno. Straszliwa pasja wionęła do głowy. Wymierzył z karabinu w stronę, w którą kroczyła niewidzialna istota, i strzelił. Ale rytmiczne stapanie nie znikło, wciąż prowadziło go do stajni. Kiedy jak lunatyk zbliżał się do tego budynku, usłyszał brzęk uderzenia o żelazną sztangę u drzwi stajennych.

Potem nastąpiła zupełna cisza, jak gdyby pierzeł koszar senny. — Jakieś objawy warjacji — stwierdził w duchu i opuścił folwark. Przed kuchnią natknął się na Michałko i Wincentego, którzy zbudzeni wystrzałem, posiadając drugi klucz od zamkniętych drzwi sieni, wybiegli, by przekonać się, kto strzelał. Nie powiadomił tych ludzi o zaszłym, zgoła niesamowitym wypadku. Oznajmił, iż strzelał do jakiegoś osobnika, dobierającego się do stajni, lecz że tamten uciekł. W dzień także nie zwierzył się nikomu z przygody, która jemu samemu zdawała się halucynacją.

Lecz następnej nocy zupełnie identycznie, jak onegdaj, ktoś przeszedł pod oknami gabinetu, a gdy Niżys wyszedł na podwórze, znów tajemnicze kroki zaprowadziły go na folwark, do stajni. I znów po charakterystycznym brzęku sztangy zapanowała cisza. Skoro na trzecią noc również usłyszał, iż ktoś idzie wzdłuż domu, nie zwrócił na to uwagi, pozostał w pokoju.

Okolo siódmej rano, kiedy zmęczony spał kamiennym snem, napół rozebrany, obudził go Michałko. Ten przyniósł nie dobrą nowinę. Oto w nocy przepiłowano sztangę u drzwi stajni i wyprowadzono czwórkę karych anglo-arabów. Skradziono tylko te konie, wszystkie inne pozostały w swych gródzjach. Dwa olbrzymie, bardzo złe psy, spuszczone na noc z łańcuchów, leżały otrute. Wtedy wszystkimi nerwami Niżys odczuł, że dzieje się z nim coś okropnego, coś — co graniczy z obłędem.

Do wsi wpadały małe oddziały petlurowców. Żołnierze ci, jeśli tak można nazwać oberwańców, uzbrojonych w karabiny przeważnie o odciętych lufach (zwane po miejscowemu *odrizanki*), na swych nieszczęsnych, krostawych szkapach zjawiali się we dworze z żądaniem jedzenia. Niezwykle zgłodniałe było to bractwo. Objadało się do woli w kuchni dworskiej i odjeżdżało kędys. Zachowanie się tej „kawalerji” w stosunku do „karmicieli” było całkiem solidne. Petlurowcy nie prawie nie rabowali, dopytywali się tylko o broń, a gdy im wyluszczano, że tę zarekwirowali już przed nimi towarzysze wojaków, rzadko dokonywali rewizyj, wierzyli w podobne oznajmienia.

Aż kiedyś przybyli dwaj mniej łaskawi obszarpańcy, przystrojeni w żółte, zszargane kożuchy i czerwone baszłyki. Przetrasnęli wszystkie pokoje we dworze (broni nie znaleźli, gdyż wszystkie karabiny, sztucery, dubeltówki i rewolwery były dobrze ukryte), prawem kaduka przywła-

szczyli te i owe mogące się im przydać przedmioty i udali się na folwark.

Wtargnęli do stajen i jeli czynić przegląd koni, zakończony „handlem zamiennym”, a mianowicie pozostawieniem pokrytych krostami własnych „bojowych rumaków”, a zabranie pary gniadych cugowych. Niezwłocznie wyprowadzili te konie na dwór. Najpierw spróbowali, jak też chodzą pod siodłem. Chodziły nader dobrze, ba, nawet za dobrze! Jeden z kawalerzystów, galopując wokoło podwórza, smagnął swego bieguna nahajką, w wyniku czego wystany angił wykonał nieprzewidywany przez jeźdźca skok i grzmotnął dryblasą o ziemię. Ów czuł się niemile po upadku, zawyro-kował tedy, że *kiń* jest znarowiony i odstawił go do stajni, skąd wywiódł cisawą „Tanfanę” i na niej odjechał.

Cugowa stajnia zmniejszyła się o siedem koni. Przed rokiem niespełna Niżysiuwy „Derwisz” poszedł wraz z oddziałem Sepica do Polski, po skradzionej czwórce karych wszelki ślad zaginął, wreszcie rekwizycja rozbiła pary gniadych i cisawych. Pozostał tylko niemłody, ale przepyszny szpak „Selim”, niegdyś wierzchowiec pana Adama, cisawa „Izyda”, gniady ogier „znarowiony”, jak stwierdził petlurowski żołdat i wierzchówka półkrwi arabskiej bułana „Beduinka”. Roboczych koni było w majątku wraz z dwuletniami i rocznymi źrebiętami przeszło czterdzieści.

Wiosna tego roku, znacznie późniejsza, niż 1918, przyniosła ze sobą nieustanny huk armat. Odgłos zrazu daleki, ciężki szedł od południo-wschodu; przewalał się po ziemi głucho, groźnie. Huczały działa coraz bliżej i bliżej, huczały nieprzerwanie



w dzień i częstokroć do późna w noc. Szyby dzwoniły od tego huk.

Potoki słoneczne zalały pola i czar wiosny stanął w przestworzu. A przez wieś przemykały się oddziały i oddziały wojsk atamana Petlury. Pan Hubert Gryf-Zorański nazywał tych żołnierzy wyszukanie dokładnym słowem: *hotodranc*. Poszczególni osobnicy należący do tej hulastry wojującej twierdzili bezezalnie, że ich siły na całej linii gromią krasnoarmiejców. Było wprost przeciwnie. Bolszewicy parli przed sobą tę armię obdartą, zdeorganizowaną.

CZERWONI WANDALE

Niżys, kwietniowego, zielenią młodej trawy i zlotem owianego dnia, szedł z małym bratem przez plantację chmielową. Między szeregami olbrzymich słupów i drutami, pnącymi się w wyż, ciągnęła się pustka. Z dołkowej przestrzeni plantacji wzyrało wspomnienie lat szczęśliwych.

O lata minione i niepowrotne! O, uroku nieprzebrany i szczęśliwości dawnego czasu! Gdzież się podziały te dni przedjesieni cudownej, gdy ładowano chmiel pachnący odurzająco do ogromnych worów i składano je na wozy, odjeżdżające do szarni? Uwijał się przy tej pracy parobcy i dziewczęta wiejskie. Ojciec i syn chodzili kiedyś tą ścieżką — a tamta także. Chodzili przeciw zawsze... Dziś armaty huczą... Szczekają gdzieś niedaleko kulomioty. Tesknota okropna przedzie się z błękitnego dnia tej wiosny, jest w każdym miejscu i w każdym czasie.

— Niżysiu, dokąd to papo pojechał na tak długo? — zapytał brat.

— Pojechał do kraju bardzo szczęśliwego...

— A czemu nie wraca? Czekam i czekam i bardzo tęsknię do niego — w oczach chłopczyka ukazały się łzy.

— Nie płacz, Jaremk. Bądź mężczyzną! Wiesz, nie może papo do nas wrócić, bo tu bolszewicy przyjdą. Mogliby mu coś złego zrobić. A tak nie robią. Więc powinienes się cieszyć, że papie tam dobrze i że nie grozi mu niebezpieczeństwo... Bracia dochodzili do łąki, przytkającej do ob-

szaru plantacji. Droga od strony owej łąki zdążyła slichna dziewczyna. Gdy zobaczyła Niżysia, oczy jej rozjaśniły się uśmiechem. Wnet nakryła je rzesami.

— Dzień dobry, Nadiu — przywitał ją.

Chwilę rozmawiali ze sobą. Zapłonila się Nadia, gdy mówiła paniczowi, że wychodzi zamaż. Nie kocha naturalnie tego przyszłego męża. Jest to bogaty gospodarz z Turczynki, człowiek starszy od niej o jakie dwadzieścia lat. Rodzice ją nakłaniają, by wyszła za niego. Nie sprzeciwia się im, będzie żoną owego *diad'ki*. Rozumnie, że panicz teraz nie może o niej myśleć, lecz gdyby kiedy pomyślał, gdyby zechciał się z nią widzieć, to ona przyjedzie do Jarowa pod pozorem odwiedzenia rodziców. W błękitnych oczach dziewczyny zamigotała tęsknota. Ucisnęła silnie rękę Niżysia i odeszła.

Łąka, a później polem doszli Niżys i Jaremk do dworu. Na dziedzińcu, uwiązane do plotu, stały trzy posiadlane, niepospolicie chude chabety.

— Patrz, Niżys, znowu *hotodranc* przyjechali — powiedział Jaremk.

Jednak nie byli to petlurowcy, jak przewidywał chłopczyk, lecz bolszewicy.

Niżys, wchodząc przez ganek do pokoju jadalnego, ujrzał żołdatę, który szperał w kredensie, coraz to dobywał z niego jakiś przysmak i lylał łapczywie. Do tego *krasnoarmiejca* panna Joasia (oddawna już zupełnie zdrowa) mówiła coś, czego on zapewne nie słyszał. Był bowiem całkowicie zaabsorbowany pożeraniem smakowitych *zakusek*. Na widok Niżysia, postawił na kredensie słoiczek z konfiturami, z którego właśnie palcem wybierał zawartość i zawołał groźnie:

— *Ty choziań?*

— Ja — odrzekł Niżys.

— *Tak, dawaj orużje!*

Niżys wyjaśnił bolszewikowi, że broń zabrali petlurowcy, więc we dworze niema ani jednego karabinu. Ten nie wierzył, polecił gospodarzowi bezzwłocznie wskazać miejsce, gdzie ukryto broń. Niżys wruszył ramionami i poszedł do sypialnego pokoju pani Denhoffowej, w którym toczyła się głośna, prowadzona po rosyjsku rozmowa. Za nim podążył żołdat. W pokoju tym znajdowało się dwóch bolszewików. Jeden przerzucał zawartość szafy, drugi rewidował biurko, pchając do kieszeni przedmioty, które mu się podobały. Pani Olimpja i pan Gryf-Zorański byli obecni przy tej jawnej kradzieży.

Krasnoarmiejcy na widok Niżysia nie przegrali swych czynności. Ten, który szperał w szafie, zaciekał się gotownią. Jął otwierać przezroczyste flakony, flakoniki, puzderka, w pewnej chwili polizał krem do twarzy, uznał, że nadaje się on do spożycia, przeklnął sporo pachnącego tłuszczu. Skonsumował później nieco brylantyny i zamierzał napić się perfum jaśminowych, ale zakrzusił się i wylał zawartość flakonu na głowę.

Bolszewik, który pierwszy zawarł z Niżysiem „znajomość”, wezwał kamratów do opuszczenia pokoju sypialnego. *Towariszci* udali się do gabinetu i tu znaleźli kilka lusek od nabojuw sztucerowych. Wówczas przyłożyli Niżysiu do twarzy nagany i zażądali wydania broni. Lecz w tejsze chwili zjawili się: Michałko, Wincenty, starosta, Zachar Trofimeczuk i kilku chłopów. Przybyli zakomunikowali trzem drabom, iż nie pozwolą uczynić żadnej krzywdy towarzyszowi Denhoffowi, ich przyjacielowi.

— On przeciw *pomieszczyk*, czemuż wy go bronicie? — pytali bolszewicy.

— Choć i *pomieszczyk*, ale człowiek sprawiedliwy i dużo on dobrego nam zrobił — przekonywali ich chlapi.

— Nie inaczej — potwierdzał Wincenty, a Michałko przybrał groźną postawę i oświadczył, że on, Michał Doszkiewicz, zna osobicie Trockiego, jest z tym dostojnikiem w nader przyjaznych stosunkach i nakazuje *towariszom* jak najspokojniej się zachowywać... Sołdaci przychli, zaczęli odnosić się do Michałki z szacunkiem. Wkrótce odjechali.

SKARBY ZAKOPANE

Niżys z panem Hubertem i księdzem Bratkem odbyli walną naradę, w wyniku której pozostałe konie w stajni cugowej oddano na przechowanie kolonistom czeskim. Ci koloniści, niegdyś nabywcy od Sepica jego ziemie, pobudowali się na niej i stworzyli wieś, nazwaną Zagajewszczyzna Czeska. Byli to ludzie życzliwi dla dworu.

Wszystkie kosztowności pani Denhoffowej: złote zegarki i łańcuchy, pierścionki z drogiemi kamieniami, broszki, kolczyki zostały schowane w tajnej skrytce, znajdującej się pod podłogą w jednym z pokojów.

Lecz niesposób było ukryć koni roboczych, powozów, bryczek, mebli, wielu cennych przedmiotów, oraz bogato oprawnych kłku tysięcy książek, z których składała się domowa biblioteka. Należało się przygotować, że wszystko to zostanie bądź zrabowane, bądź zniszczone przez czerwoną dżiec.

Był też niemały kłopot z bronią. Coprawda w owym czasie z okolicy zniknęły watahy bandyckie, gdyż nie miały już w tych stronach nic do roboty, a Michałko był powiadomiony, że chlapi zagajewscy nie noszą się z zamiarem powtórnego napadu na dwór. Jednak niebezpiecznie było nie mieć pod ręką broni, zaś trzymać ją w pogotowiu także niebezpiecznie, bo w tym wypadku można się było spodziewać, iż bolszewicy zabiorą każdy karabin i każdy rewolwer, który zobaczą — a nadomiar będą się mścić za ukrywanie *orużja*. Więc trzymano owo *orużje* w dzień w ukryciu, a na noc z wielkimi ostrożnościami wydostawano je.

(ciąg dalszy nastąpi).

Marja
Reutt

LUT MIŁOŚCI

powieść
obyczajowa

13 CIĄG DALSZY

Hrabia od dziecka nie lubił scudzoziemczania imion, tych Żorżetek, Margrjetek, Rit, Margeritek, Elm, Zorzetek i innych „etek“.

Może i to wpłynęło na jego decyzje. Z początku zaskoczony był sam swoim krokiem.

Nie mógł sobie uświadomić, jak się to stało. Panna, choć ładna i dobrze ułożona, nie była w jego guście. Ale co z tego? I Sława również nie odpowiadała typowi, jaki sobie wytworzył na żonę, a jednak... gdyby tylko chciała była być z nim szczerą, już dawno nosiłaby jego nazwisko.

Przyzwyczajai się do niej, może z czasem i przywiąże się. Ogólnie utrzymują, że „mariage de raison“ są najzgodniejsze i najrzadziej zdarzają się w nich rozwody. A ostatecznie — małżeństwo to przecież jeszcze nie całkowita utrata wolności.

Pociąg wjechał na Główny Dworzec.

Ocknął się z zadumy i wstał. Nie wyszedł od razu z wagonu. Niecierpiał tłoku. Stał przy oknie i przyglądał się cizbie ludzkiej niecierpliwie, nerwowo, rozgorączkowanej, śpiącej się gdzieś przed siebie, posturkującej się wzajemnie w wyścigu o pierwszeństwo przy wyjściu.

Nagle ujrzał Sławę. W ciemnym granatowym kostjumie, ciemno-zielonym kapeluszu i srebrzystym lisie wyglądała elegancko i rasowo. Nerwowo przebierając palcami po okuciu torebki, śledziła uważnie wychodzących z wagonu podróżnych. Twarz miała bladą, usta zacięte i chmurne oczy.

Idąc za jej wzrokiem, hrabia Zych zauważył Andrzeja, wychodzącego z przedziału drugiej klasy. Wyglądał zdrowiej, ruchy jego były sprężyste, wzrok żywszy.

Pospieszył ku stojącej, Sława szła mu naprzeciw. Twarz jej nie straciła wyrazu napięcia, choć wzrok złagodniał. Objęła go za szyję i pocałowała w twarz.

Zych przymknął oczy i przez usta przewinał mu się uśmiech szyderycy.

— Chciałbym, żebyś zobaczył tę scenę — pomyślał o Gustawie Hojnorzeckim i jego wynurzeniach.

— Zaproponuję Zosi, żeby ślub nasz odbył się w styczniu — postanowił.

Jadąc do domu, wstąpił do kawiarni i, wybrawszy wiankę róż herbacianych i orchidei, kazał je wysłać narzeczonej ekspresem do Wronowa.

MIŁOŚĆ NA ROZKAZ

W mieszkaniu pani Kokocińskiej przy ulicy Koszykowej. Andrzej chodził niespokojnie po pokoju. Sława stała koło okna, oparta o ścianę. Błada była i w stężonych jej rysach znużenie i przygnębienie uwydatniało się wyraźnie.

— Tak, Andrzeju, teraz, kiedy masz możliwość utrzymania się, musisz się ożenić z Danusią. Nie możesz jej tak zostawić...

— Z Danutą! Ja! Co ty sobie wyobrażasz! — wykrzyknął z oburzeniem.

— Właśnie z Danutą. I to nie zwlekając.

— Nigdy! — wybuchnął.

Podniosła na niego umęczone brzośnie.

— A jednak ożenisz się. Tak postanowiliśmy!...

— Danuta Pacek, córka masarza: ładna parantela dla Andrzeja Duszczańskiego herbu Półkozic, syna Ignacego i Marty z hrabiów Kościuszów...

— Zgadzam się z tobą, że panna Pucek nie jest odpowiednią partją dla Andrzeja Duszczańskiego, syna zacnego i ogólnie szanowanego Ignacego i Marty z hrabiów Kościuszów, ale jest aż za dobrą partją dla Andrzeja Duszczańskiego — fałszera, oszusta i złodzieja.

Skoczył do niej jak tygrys. Miała wrażenie, że rzuci się na nią, z zacienieniami w pięście dłońmi i zacnie ją bić.

— Jak śmiesz? — wycharczał.

Skrzywiła usta pogardliwie.

— Ośmieliłam się przypomnieć ci

to, o czym widać zapominałeś w swym brutalnym egoizmie.

— Danuta jest niezłą dziewczyną. Uwiodłeś ją po to, by ją okraść ze wszystkich jej oszczędności a nawet pieniędzy ojca i rzucić z dzieckiem. I ja, nie o takiej marzyłam kiedyś bratowej i jej lekkomyślność wzbudza we mnie niesmak, ale chodzi tu o dziecko i o poczucie sprawiedliwości. Skrzywdziłeś ją podwójnie: wyzyskaniem jej małej etyki moralnej, że tak łatwo została twoją kochanką i jej łatwowierności i przywiązania do ciebie. Mogła cię skarżyć, mogła podać do sądu — a ona w mileczeniu przyjęła bicie ojca, jak przyjęła i winę zniknięcia pieniędzy na siebie. Więc powtarzam, iż dopóki nie ożenisz się z nią, dopóty Zielonka nie zostanie przewłaszczona na ciebie. Namyśl się do jutra. Przyjdę po decyzję o dziesiątej, albo lepiej zatelefonuj sam do mnie.

Przeszła przez pokój, nie patrząc na niego, nie chcąc widzieć jego zgnębionej i fałszywej równocześnie miły pokrzywdzonej niewinności.

Na ulicy wsiadła do tramwaju i pojechała na Pragę.

Długo błąkała się wśród labiryntu uliczek, nim odnalazła poszukiwaną



wedliniarnię, a nad nią szyld — Jan Pacek.

Weszła do sklepu. Był pusty. Za ladą stała młoda dziewczyna o ciemnych oczach i bladej twarzy. Na widok Sławy drgnęła gwałtownie i zacierwieniła się.

— Dzieńdobry, panno Danuto — powiedziała Sława, zbliżając się do niej i wyciągając rękę.

Dziewczyna z nieśmiałością położyła na jej ręce swoją dłoń — szorstką, spracowaną.

— Dzień dobry pani — odpowiedziała.

— Mam do pani ważny interes — ciągnęła Sława. — Przyszłam, aby na godzinę wyszła pani ze mną na miasto.

— Nie wiem, czy mi ojciec pozwoli — szepnęła.

Z za drzwi, wiodących do wewnątrz domu, wyjrzała czerwona, tłusta, szcrocka twarz pana Paceka.

— Pani tu? — zdziwił się, idąc ku niej.

— Ledwo odnalazłam pański sklep — odpowiedziała Sława.

Masarz westchnął, spojrzal z niechęcią na córkę.

— To wszystko przez nią; przez to wyrodne stworzenie musiałem ze wstydu z Marszałkowskiej schować się aż tu na Pragę. Ale co panią tu do nas sprowadza?

— Mam do panny Danuty interes, chciałabym wyjść z nią na godzinę do miasta. Przyszłam prosić, aby pan jej pozwolił towarzyszyć mi. Nie zabawimy długo.

Wzruszył ramionami: — A niech idzie, co mi tam! Nie zmartwiłbym się nawet, gdyby więcej nie wróciła.

Dziewczyna śpiesznie wyszła ze sklepu. Ojciec powiódł za nią rozżalonym spojrzeniem.

— I chowaj tu dzieci! Uczyć się chciała... Posyłałam ją do szkoły, na pensję, lekcje gry na fortepianie brała, stroilem, cackałem — a ona mi ko-

chanka do domu przyprowadziła, wszystkie swoje pieniądze mu oddała i nawet z kasy dla niego brała...

— Żeby nie moja stara, jak psa bym przepędzi! Ale matka, zawsze matka. U nóg mi leżała, na kłęczkach błagała i zostawiłem; tylko że z Marszałkowskiej precz iść musiałem...

Weszła Danuta w kapeluszu i z kiccie. Stała na boku.

— Chodźmy! — powiedziała Sława. — Dowidzenia panu.

Masarz uściśnął mocno jej dłoń.

Gdy były już przy drzwiach, krzyknął na córkę grubiańsko: — Tylko długo nie siedź, bo matka ma co innego do roboty, niż pilnowanie twojego bekarta...

— Ojciec już taki będzie zawsze — usprawiedliwiała go córka. — Niby krzyżczy zły, zawzięty, a za Jedrusiem skończył w ogień. Jestem pewna, że w tej chwili trzyma go na kolanach...

— Andrzej jest w Warszawie — przerwała jej Sława. — Prowadzę panią do niego.

Danuta drgnęła i przystanęła. Patrzyła na Sławę bezradnie niedowierzającym spojrzeniem...

— Trzeba, żebyście się porozumieli co do ślubu. Andrzej ma objąć w posiadanie folwark pod Chmielnikiem. Nieduży to obiekt, ale przy pewnym wysiłku pracy i oszczędności utrzymać się będziecie mogli.

Dziewczyna nie wierzyła swoim uszom. Ta dumna i wyniosła siostra Andrzeja nie tylko nie przeszkadzała, nie protestowała — ale sama naniawiała ich do małżeństwa.

Gdyby rozmowa ta nie odbywała się na ulicy, rozplakałaby się napewno ze szczęścia.

Przed bramą domu na ulicy Koszykowej Sława pożegnała Danutę. — Niech się pani nie zraża nastrojem Andrzeja. Dużo przeszedł wstrząsów moralnych, potrzebne mu jest kochające, współczujące serce — powiedziała jej przed pożegnaniem.

Nazajutrz o godzinie dziewiątej zadzwonił telefon w hallu mieszkania hrabiny Klotyldy Chrzastowskiej. Sława poderwała się od stołu i, uprzedzając lokaja, ujęła za słuchawkę.

— To ty Sławo? — Przyjalem twój warunek. Idę do rodziców Danuty. Możebyś i ty ze mną poszła. Będzie mi różnie... — prośbą drżał mu głos.

— Przyjdę. Czekaj na mnie.

— Kto telefonował? — spytała hrabina Klotylda, gdy Sława wróciła do jadalni.

— Andrzej — odpowiedziała krótko. Hrabina poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Czego chce od ciebie ta zmara? — Zgodził się ożenić z tą swoją kochanką, Danutą Pacekową...

— Ładna parantela, masarka Pacek i w dodatku z dzieckiem — syknęła.

Sława westchnęła. — Właściwie, to szkoda jej dla niego!

Ślub hrabianki Isi z Jurkiem Chrzastowskim miał się odbyć trzydziestego listopada. Telefonowała do Zycha.

— Ordynacie, musi pan hrabia być na moim ślubie, jako jeden z przyjaciół. Niech mi pan to obieca!

— Obiecuje, ale żądam ładnej partiterki!

— Dostanie pan najładniejszą ze wszystkich.

— Wobec tego całuję rączki pięknej pani i żałuję, że to nie mój ślub, że to nie ja będę panem młodym!

— Z pana ordynata bałamut, tylko że pana urok stracił władzę nade mną obecnie. Do zobaczenia — na ślubie!

Położył słuchawkę na widełki i zamysłił się. — Jak nieraz w życiu człowieka wpłaczę się jakiś złowroga jednostka, która tragicznie zaciąży na całym życiu!

Taką złowrogą jednostką była dla niego Sława. Przez nią nie ożenił się z tą śliczną, miłą dziewczyną, która podobała mu się i pociągała go. Przez Sławę zaręczył się z panną obcą mu i obojętną, tylko dlatego, żeby raz na zawsze strząsnąć z siebie ten urok, który wywierała na niego.

Zacisnął pięści i ciężko oparł je na poręczach fotela, na którym siedział.

Przypomniał sobie, że na 28-go, 29-go i 30-go listopada zaproszony był

do Wronowa na polowanie przez hrabiego Oporowskiego i że narzeczone usilnie prosiła go, żeby nie zrobił zawodu.

Po tem polowaniu mieli przyjechać wszyscy: goście i domownicy do niego, do Molotowa, na dalsze polowania.

Zasepił się. Co robić? Nie chciał zrobić zawodu Isi, a nie wypadało również odmówić przyszłym teściom.

Ślub Isi 30-go. Jeżeli zaraz po kolacji wyjedzie, to zdąży na koniec polowania.

Do daty ślubu brakowało 10 dni. Chciał na czas powiadomić narzeczoną i jej ojca o opóźnieniu.

TRUCICIELE...

Pan Sender Cybermann nie miał szczęścia. Gdy wracał z Sosnowca motocyklem firmy, której miał przedstawicielstwo, zastąpił mu drogę dwaj policjanci. Musiał się zatrzymać i wylegitymować. Potem jak z pod ziemi wyrosło przed nim jeszcze czterech policjantów i dwóch wywiadowców.

Rozpoczęła się rewizja, która dała — nadzwyczajne wyniki. W kasetce przytwierdzonej z tyłu, wywiadowcy znaleźli 2 kg. kokainy. Pełną kokainy okazała się też torba ua narzędzia.

Tego samego wieczoru ukazały się w stolicy nadzwyczajne dodatki.

„Wykrycie wielkiej afery kokainowej. — Przemysłnicy pod kluczem“ — pisano.

Wykrycie nastąpiło dzięki omyłce biuralistki. Spodziewane są liczne dalsze aresztowania.

Sława, czytając te nagłówki, uśmiechnęła się pobłażliwie.

— To nie była omyłka. Wiedziała, co pisze i dlaczego tak pisała. W tym jedynie celu, by zdemaskować nikczemnych trucicieli organizmów ludzkich — objęła posadę w biurze panów Cybermanów i pracowała tak gorliwie...

Andrzej zabezpieczony, szajka handlarzy narkotyków unieszkodliwiona, więc ona nareszcie wolna.

Wolna! Lecz wolność ta przyszła do niej zapóźno. Nie przedstawiała już dla niej żadnej wartości.

Opuściła głowę na dlonie i wybuchnęła górkim, bolesnym, głośnym szlochem, podobnym do jęku...

(ciąg dalszy nastąpi)

Oświadczam!
"TEN BIOCEL
ODŻYWCZY DLA SKÓRY
JEST CUDOWNY!"

Dowodzi
że Skóra
może się
odżywiać



Mój kosmetyk — specjalista wtajemniczył mnie, że Biocel zawarty w tym specjalnym Odżywczym Kremie, jest otrzymywany ze starannie wybranych młodych zwierząt. Przenika on głęboko do skóry i zaopatruje ją w tę odżywkę, której ona właśnie potrzebuje, by być jędrną, świeżą i młodą. Został on wynaleziony przez wielkiego Profesora Uniwersytetu Wiedeńskiego i jest obecnie połączony z Kremem Tokalon, koloru różowego, spreparowanym według oryginalnego francuskiego przepisu znakomitego paryskiego Kremu Tokalon w takiej właśnie proporcji, by odżywiać tkanki skórne. Używaj tego Kremu wieczór, Kremu zaś Tokalon koloru białego — rano. W ciągu 3-ech dni będzie Pani na drodze do pozbycia się wszelkich wad cery i zwiotezających miąsini twarzy. Doświadczenia przeprowadzone przez Profesora Stejskal w Uniwersytecie Wiedeńskim na kobietach w wieku 55-ciu do 72-ech lat dowiodły, że zmarszczki znikły w ciągu 6-ciu tygodni



Kraków — widok z wieży Marjańskiej na Rynek i kopiec Kościuszki w dalekiej perspektywie.

Wianki miano puszczać na Wiśle. Dziewczeta wzięwszy się za ręce, tańczyły na brzegu rzeki.

Z barwinku, lubczyku, rozmarynu i ruty plotły wianki. Każda młódka miała swój. Teraz śpiewały zapamiętałe w drżącym wyczekiwaniu na noc świętojańska.

Wiosna łączyła się z latem, odprawując gody.

Słońce wyrwale nie opuszczało ziemi. Nurzało się w kwiatach, co barwiły się na wzgórzach, które ujmowały rozpleciony warkocz boginki Wisły. Na podzamczu ruń zielona i wesola wymykała się z ziemi. Całe powiśle było ukwiecone. Na groblach wybujała roślinność nadwodna. Białe i różowe sady okrażały brzegi w panińskich rumieńcach.

Zieleń, dzierząc kwitnące pióropusze, biegła pod same mury miejskie. W nurtach wiślanych poruszały się odbicia modrzewi, brzoź i jabłoni. Drzewa śpiewały rozgwarem ptaków. W pobliżu miasta, na wzgórzach, na osiedlach, w gajach okolicznych, stały dworce panów krakowskich, tonęły w bujności i rozkwicie. Barwne pasieki miodosytne grały w słońcu.

Nad wodą, dalej, na widnokregu, szły młyny, coraz dalsze, rzędem poważnym, jak druidowie przesuwanie po harfach muzykę dziejów. Młynarze złotozłaznej przeszłości.

Popołudniu kto żyw ciągnął ku Wiśle.

Z okolic i nieraz z dalekich siól przybieżały dziewczki, co wianki swoje chciały klasnąć na nurt wodny przy królowej, — tak jak one, młodziutkiej.

A za młodzą żeńską dążyli chłopcy i niosąc niełamlliwe twarde żerdki, wianków chcieli dostawać.

Naschodziło się z obu brzegów Wisły dziewczuch mnóstwo w kwitnącej krasie. U każdej wiele długich wstążek zwisało się przy koszulce. Pośród nich dwie zaplecione kosy, o barwie słomianej, koniuszkami zawiązane. Policzki dwie polne róże, czasem czarne nad oczami brewki. Wiązanki koralowe na szyi. Piersi ukryte w jaskrawych aksamitnych gorsecikach. Na piersiach centków, blaszek świecących bez miary.

*W Krakowie nam wianeczek wito
lelum ludo
w Sandomierzu chusteńkę szyto...*

Nad Wisłą zachwiała się piosnka — i naraz wzniosło się i poleciało długie dziewczynskie śpiewanie:

*Wyszli nad wodę Sandomierzanie
oj, co wieziecie, panowie Wiślanie?
Dary wieziemy, wielkie dary
oj, wianeczek to ruciany...*

Jakby jakiś wiatr śpiewający wiał od rzeki...

...oj, śratak-że nas, moja matulu...

Już przez bramy krakowskie biegły z miasta mieszczaneczki. Gębusie ich umalowane różanymi barwiczkami. Weselsze one są i bardziej puste niż wiejskie dziewczuchy. Tamte, choć wybuchną śmiechem, to zaraz zaleknione poważnieją i ukrytą tęsknotę wypiewują. Mieszczki pokazują białe ząbki w uśmiechu. Koronek i wisiorków różnych na nich bez liku. Drogohaftowane pasamoniki obciążają ich suknie. Na głowie zawiązki, na których błyszcza drogie kamienie, niczem chrapaszczyki na łące.

Ludwik Świeżawski

WIANKI KRÓLOWEJ JADWIGI

Niektóre, pilnie strzeżone, idą razem z matkami i wierzą się na wszystkie strony. Dzwoneczki mają przytwierdzone do pasa, co by zaraz dawały znać, gdyby się która wymknęła. Niejedna paniąka już próbuje, jakby dzwonki przytłumić. Inne bogobojne tylko ukradkiem strzygą oczkami na młodzieńców. Między tłumem, co wylegał z miasta, toczą się pozłociste pojazdy patrycjuszowskich rodzin. Z nich kukają rozbawione młodyszki. Jada i idą różne. Córki patrycjuszów, doktorów nauk, kupców, rzemieślników, biedoty miejskiej. Która tylko ma lata dziewczęce, ma i wianek we włosach młodych, bujnych, pachnących uwodzicielsko.

Wszystko daży na lewy brzeg Wisły, szeroki, zielony, objęty ogrodami. Miasto wyludniło się. Samo słońce pozostało w mieście. Opustoszałe ulice, nagrzane i przesycone słonecznym blaskiem, podobne były do drogocennych skrzyń, napełnionych złotem. Wielomowna cisza zapanowała w Krakowie.

Naraz głucho, poważnie zatętniły po zamkowym moście zwodzonym podkowy królewskiego rumaka.

Królowa Jadwiga jechała na obrzęd dziewcząt.

Podniosły się wszystkie dłonie ku górze, do królowej. Ponad mnogim tłumem dziewęcym zajaśniały lilje, mnóstwo białych lilij, łąka liljana.

Zawołano z pełnych piersi śpiewem zachwyconym, powitalnym, radosnym, śpiewem wspólnego zrozumienia uczuć żeńskich: „Hej ludo, ludo!”

Królowa zjeżdżała ze stoku wawelskiego. Od ogrodów franciszkańskich wionęła wiosna upojna.

Królowa była w bieli. Siedziała na bielutkim rumaku, prosta i kwitnąca. Suknia jej odkrywała głęboko naga szyję, gładką, łabedzią i nieskazitelną. Cienka materja sukni otaczała ją ściśliwie, odznaczając pełne krasę, dziewczęce kształty. Za całą ozdobę miała na biodrach obręcz ze złotych ogniw. I na rozpuszczonych włosach błękitny wianek z żywych kwiatów.

Dwaj dworzanie prowadzili konia królowej. Za nią jechały konno panny dworskie, rówieśniczki. Wszystkie w białych gieleczkach, z wionem wiankami. Perłowy pas okalał im biodra. Na rękach miały złociste rękawiczki. Powieki wstydliwie spuszczone.

A za nimi kwiat młodzi dworskiej i rycerskiej. Tutejsi i przyjezdni. Byli, którzy z daleka nadciągnęli, aby wejść w narzeczeństwo z którąś z szlachetnego dziewczynka Jadwigi.

Orszak królowej wjechał pomiędzy młodzież. Puszczone pierwsze wianki z nurtem wiślany.

Zaniemówiły młode. Rękę do serca przytknęły i tak, jak się nachyliły nad wodą, trwały zapatrzone w bieg zielonych okrągłych uwijków.

Wianki płynęły spokojnie, unoszone falą. Skierowały się na środek rzeki i tam porwane bystrym prądem, przedko zaczęły biec. Poskoczyli chłopcy w dół rzeki. Tymczasem ukazywało się coraz więcej wianków.

Oba brzegi zanosili się śpiewaniem. Wybuchalo ono przejmująco, to znów ucichało. Kolyśali się razem z kolebiącymi się zieleńcami. Widać było, jak niektóre znikają pod wodą, jak niejedne rozwijały się i przepadały. Zaplakała nieraz patrząca.

Na zakręcie, gdzie Wisła na górę zamkową zapływała, młodzieńcy wychylali się ze skał i długimi żerdziami chwytali wiance, wylawiali je z toni z pohukiwaniem zdobywcem i głośnem. Hukanom i ciągłemu płnięciu nie było końca. Zieleniła się i kwieciła woda. Powierzchnia głębiny posłana była splecioną rutą, macierzanką i rozmarynem.

Już junacy przybiegli, a której wianek kto miał i po znakach poznał, tę brał teraz i całować mógł. I całował. Inni powracając, nie mogli się doszukać właściciela, a gdy ją zdybał, gonil za nią nieraz, bo mu się wydawało, że z rąk, z piskiem pomykała w tłum.

Rozbawionym szumem huczało na powiślach. A pomiędzy nimi, w środku pomieszania barw i ludzi, pod Wawel i pod zachodzącą zorzę płynęła Wisła uwieczniona.

Zapalało sobótki. Wzniesione ogniska rozbłyskiwały we wodzie, mieszając się z ogniem słońca. Nad płomieniami przeskakowali gibcy młodzieńcy. Oczyszczał ich ogień, kiedy już dziewczęta oczyściły się wodą. Zapadał wieczór godowy.

Królowa wstąpiła na prom. Za nią panny dworskie i dwór.

Teraz dworki puszczały wianeczki, świece zapalając pośrodku nich. Nowe je fale uniosły. Posuwały się świecące wianuszki, jeden za drugim, jakby stado niezwykle. Coraz błękitniejszy otaczał je wieczór. W nim światelka chwiejące — różowe były, podłużne i jasne. Na brzegach płynęły ogromne stopy. Duże blaski wpadały w głąb toni i po wypukłych falach weżowo rzucały się ku płynącym. Panińki wodziły wzrokiem za swojemi świecącymi łódkami.

Już poleciali młodzi rycerze. Tymczasem jedna wydała trwożny okrzyk, bo oto jej wianek zaczął kołem zawracać ku wirowi, który pod smoczą jamą młynem kołował. O, gdy tam się już dostanie, to się z nim pożegnać. Wtedy jeden z rycerzy koniem ruszył i jak błysk szybko pomknął. A na drodze mu paliło się ognisko i ze stosu ułożonego wybuchły płomienne mioty. Daleko było okrażać. Panna krzyknęła po raz drugi, przenikliwiej, z trwogi o młodziana. Ten skoczył przez ogień. Koń białkami zabłysnął. Podkowy nad ogniem zaświeciły. Płomienie rozgięły się w dwie strony i wicher iskrami sypnął aż na rzekę. Tylko błysnął krwa-wo puklerz pozłocisty.

Zanim wianek wirum mógł być pochwycony, już go młodzian miał. Przyniesiono wianek królowej Jadwigi. Niosły go panny dworskie.

Niebo na sklonie koronkowe, złociste, jaśniejsze strzępiasto nad wiślana wodą, jak kwiat paproci.

Rzekł do Jadwigi Jan z Tarnowa:

— Porzuć wianek na Wiśle, królowo. Niechaj płynie szczęśliwie. Nikt go ująć nie ośmieli się. Niech płynie od Krakowa do morza na wróżbę szczęśliwą całej Polsce.

— Do morza... — powtórzyła cicho Jadwiga.

Wianek położono na wodzie, przytrzymując go wstęgami. Był to bukiet królewski. liljowy, ruciany, rozmarynowy. Kwietna korona ułożona na tratwce. Oliwne lampki sączyły barwiste światło przez zastony z kwiatów. Orliki białopióre, jak żywe, siedziały na krawędziach tratwki.

Nad Wawelem księżyc wschodził na młodziku. Obejmowały Jadwigę ciepłe powiewy, upajała rzeźką wilgoć. Zorza zaszła. Był błękitny wieczór. Świętojańskie robaczki krążyły jak zielone latarki, unoszone przez duszki wiosenne, jak latające próchenka, jak miłosne ogniki.

Wokół stosów rozpalonych młodzież zawrotnie tańczyła, trzymając się za ręce. Nagle przzerwano tańce. Stawano mileząc, w ruchomem oświetleniu od ognia. Rozłączały się uściski. Zaprzestano skoków. Śpiewy przerywano. Śmiech ucichał. Zamilkła wrzawa. Cisza przejęła pobrzeża. Stopy syczały. Szemrała fala Wisły.

Dziewicza królowa zdjęła niebieski wianek z włosów. Położyła go na wierchu kwitnącej korony. Nachyliwszy się, ujrzała się we wodzie biała i bujno-włosa. W czerwcowym wieczorze przejrzało się jej czternaście wiosen.

Pełnęła wianek na Wisłę. Popłynął, a wstęgi za nim na falach falowały. Ona jeszcze wychylna nad rzekę, z wyciągniętymi dłońmi, nieznaną tajemniczej toni uśmiechnęła się miłośnie.

Rozchyliła usta, wymówiła śpiewnie: *Hej ludo ludo!*

(dokończenie na str. 15-tej)

„MODY“ NARODÓW IDĄ PRZEZ ŚWIAT

Ku czemu idzie moda obecnie w swoim rozwoju? Ku uniwersalizacji, czyli powszechności stylów modnych dla wszystkich na całym świecie — czy też ku zróżnicowaniu? Zagadnienie może nie być tak bardzo ważne, ale ciekawe — zwłaszcza dzięki zmianom, jakie przechodzi ta sprawa.

Przez jakiś czas zdawało się, że moda się uniwersalizuje: wielkie „salony” i wielcy krawcy Paryża długi czas i Wiednia, dalej Nowego Jorku, tworzyli „kreacje”, która dzięki „żurnalom” z rysunkami i fotografją rozchodziła się — i rozchodzi dotąd — po całym świecie, stwarzając naśladownictwo. Ten prąd bynajmniej nie ustął — wciąż jest tak, że to, co „nosiło się” tydzień temu w Paryżu czy Londynie, dziś nosi się w Warszawie, Krakowie, Lwowie czy Poznaniu. Osobno dodatkowo w tym samym kierunku „uniwersalnym” promieniował Nowy

Jork — ekrany kin i fotosy roznoszą wzory strojów noszonych przez gwiazdy filmowe, po świecie — i cała pleć piękna (przedewszystkiem) na całym globie, zasadniczo ubiera się, a raczej stroi jednakowo.

Ale objawiać się zaczyna i prąd przeciwny — zrodzony zresztą częściowo z konieczności. Mianowicie wielkie zapotrzebowanie coraz to nowych kreacji mody stopniowo wyczerpało już wszystkie źródła: przewertowano wszystkie style dawne, starożytności, od średniowiecza począwszy aż do epoki z przed lat pięćdziesięciu, które także były mniej więcej w swoim czasie uniwersalne — i skończyło się. Skąd czerpać nowe wymysły i pomysły?

Przypomniano więc sobie wcale dobre i obfite źródło: tak zwane *stroje narodowe*, *zachowane dotąd w różnych krajach w Europie, głównie u ludu*, pomimo rozpowszechnienia się uniwersalnej mody. Te źródła ludowe zaczęły już zresztą wcześniej eksploatować *szkoły sztuki* dążące do wytworzenia w każdym kraju własnego stylu. To dążenie spotkało się ze światowym zapotrzebowaniem mody — i z tego zrodziła się myśl *wciągnięcia strojów narodowych*, dotąd utrzymanych, *w obręb międzynarodowej produkcji mody*. Tej myśli wyrazem jest m. in. międzynarodowa wystawa rzemiosła w Berlinie, na której dział strojów był ładnie reprezentowany (z niej właśnie dajemy tu fotografie dwóch pięknych sukien). Oczywiście, że te stroje „narodowo-ludowe” w ujęciu modnym uległy pewnej *stylizacji* — dużo się w nich uprościło i dostosowało do ogólnoeuropejskich wymagań — zasadnicze jednak motywy pozostały. I jak widać, zastosowanie tych motywów wydało bardzo ładne rezultaty. Być może, że zacznie się pochód przez świat mody międzynarodowej — mód narodowych: jakaś odmiana wędrowki narodów — bez ludzi, a raczej wędrowka strojów „po ludziach” i narodach.

Moda uniwersalna paryska — kostjum z barwnego jedwabiu, wyróżniony podczas największej sensacji wyścigów w podparyskiej miejscowości Chantilly (gonitwa o „nagrodę Diany”), wysięgi te są zarazem terenem pokazu najelegantszych mód.



Mody narodowe idą przez świat: model rumuński — sukienka z tiulu z ręcznymi wspaniałymi haftami o motywach rumuńskich — na wystawie w Berlinie.

Mody narodowe idą przez świat: — model francuski — sukienka wieczorowa z białych koronek (do tego przewidziany w razie wyjścia odpowiedni biały kapelusz) — na wystawie w Berlinie.



swoją „ziemię obiecaną”. To też ich koczownictwo stopniowo „wyczerpwało się” — zakładali oni „po drodze” coraz nowe osiedla, wyrastające niezadługo w miasta, wylkali coraz nowe szlaki swym wędrowkom; wędrowki te ustały, gdy wreszcie ci wędrowcy dotarli do przeciwnego brzegu kontynentu — do oceanu Spokojnego.

Dziś niema już w Ameryce koczownictwa jako zjawiska społeczno-gospodarczego. Kolonizacja nowych obszarów jest zjawiskiem sporadycznym; nawet dużo kolonistów rolnych zaczyna „uciekać” do miasta — lecz duch koczownictwa pozostał wśród Amerykanów najsilniejszy. Jego to objawem jest słynne *włóczęgostwo* (*tramp*) amerykańskie — jedyne w swoim rodzaju w tych rozmiarach zjawisko. Wreszcie jego pozostałością jest największa wśród Amerykanów właśnie, skłonność do *campingu*.

„Zmotoryzowanie” Ameryki, nafbrykowanie w ostatnich latach nie milionów już, ale dziesiątków milionów samochodów, ogromnie wzmocniło ten ruch koczowniczy w formach współczesnych, ze wszystkimi technicznymi nowymi urządzeniami i ulepszeniami.

Na małą stosunkowo skalę przejawiać się zaczął w ostatnich czasach ten ruch w Europie — jako ruch nie tylko letniskowy, jak przedtem, ale także turystyczno-wędrowni. Na małą zaś skalę dlatego, że cała Europa jest nieduża, w dodatku podzielona na kilkanaście państw — i nowoczesny wędrowiec, pchany instynktem wędrowniczym; jeżeli chce (a przeważnie musi) pozostać w obrębie swojego państwa — nie bardzo ma gdzie hulać. Ale mimo to i wielu Europejczyków nabiera „roz-machu”...

ST. MRÓZ.



DUCH KOCZOWNICTWA

(Dokończenie ze str. 9-tej).

Ostatnimi chronologicznie wędrowcami europejskimi były ludy słowiańskie. Wędrowki ich były częściowo równoczesne z wędrowkami ludów germańskich, ale parcie ich trwało dłużej. W obecnych swoich siedzibach ludy zachodnio-słowiańskie przebywają mniej więcej od VI wieku po Chrystusie. A wogóle ludy słowiańskie w początkach swych wędrowek rozlały się szeroko na zachód i na południe — do Renu, a nawet za Ren i do południowych krańców Grecji; od Renu Germanowie zaczęli ich znowu wypierać na wschód, co trwa po dziś dzień...

Ale dajmy spokój temu objawowi *ducha masowego koczownictwa*, który ma już charakter do pewnego stopnia *polityczny*, a który nie opuszcza dotąd zwłaszcza plemion germańskich, dając się we znaki ich sąsiadom. Mówmy raczej o koczownictwie „sielskim, antelskim” — myśliwskim i pasterskim w pierwotnych stadjach cywilizacji, którego duch zachował się dotąd u jednostek, i którego też jednostkowe objawy obserwujemy u siebie.

Dzisiejsza moda a tak zwany z angielską „camping”, czyli *obozowanie*, to właśnie przejaw tego ducha, który zresztą szczególnie wyraźnie występuje w tej części społeczeństwa anglo-saskiego, które powstanie swoje zawdzięcza niejako duchowi koczownictwa. Mowa tu o Ameryce i Amerykanach — przedewszystkiem północnych.

Całe społeczeństwo, niemal nowa biała ludzkość w Ameryce Północnej, która tworzy teraz państwo zwane Stanami Zjednoczonymi (i dominjum angielskie Kanadę), powstało wyłącznie dzięki niejako *ostatniemu odruchowi koczownictwa europejskiego*, wywołanemu zresztą przez różne powody (prześladowania religijne najpierw; potem gospodarcze przesilenie i nędza w przeludnionej Europie w początkach jej uprzemysłowienia), który znalazł wyraz w *ruchu przesiedleńczym za ocean*, rozpoczęty z końcem XVIII wieku, a trwający przez cały wiek XIX-ty.

Potomkowie tych przesiedleńców, przybywszy na ląd kontynentu amerykańskiego, niektórzy osiedli na miejscu. Większość jednak zachowała niejako *ped* nabyty przy przebywaniu oceanu i zaczęła się rozlewać po ogromnych obszarach nowego swego kontynentu, ruchami bardzo przypominającymi wędrowki narodów.

Kto dobrze „urządził się” na miejscu pierwszego przybycia, ten pozostawał na wschodnim pobrzeżu Ameryki — ale duchy mniej spokojne wędrowały dalej — na zachód, prawie pusty wówczas, przez nieliczne plemiona indiańskie ledwie że trochę zaludnione, — na ten zachód, który tak długo nosił u Amerykanów nazwę „dzikiego zachodu”. Jechały całe prawdziwe karawany, typowo koczownicze — wielkich wozów z całymi rodzinami, z urządzeniem domowym, z inwentarzem jakim takim.

Przypominało to trochę obozowiska cygańskie — z tą jednak różnicą, że cyganie poruszali się — i dotąd poruszają wśród ludów osiadłych, zdążając od osiedla do osiedla ludności stałej, nie mając wogóle zamiaru zatrzymywać się nigdzie — gdy ci amerykańscy „koczownicy”, mimo wszystkiego, zdążyli zasadniczo do jakiegoś celu, z zamiarem osiedlenia się na stałe, gdy znajdu-

UKŁONY DLA STAREGO

humoreska mroząca krew w żyłach

Pan Tytus Marchewka stał przy oknie wagonu i patrzył na tak zwaną przyrodę, która w oszalałym tempie uciekała mu z przed oczu. Pan Marchewka wdychał raz po raz i powtarzał szeptem:

— No, no, gdyby tak!... Tęby było pięknie! Ale człowiek nie ma szczęścia...

Pan Tytus rozmyślał bowiem o tem, że bez protekcji człowiek daleko nie zajdzie. A pan Marchewka protekcji nie miał. Miał natomiast żonę i pięcioro dzieci, co w dzisiejszych czasach kosztuje sporo.

— Gdyby tak poznać jakiegoś faceta, który zna dobrze starego, zrobić mu jakąś przysługę i dzięki temu zaskarbić sobie jego wdzięczność i protekcję!... Tęby było naprawdę cudownie!

Myśląc o „starym”, pan Tytus miał na myśli swojego szefa — co jest zresztą najzupełniej oczywiste.

Ledwie zdążył pomyśleć o tem, pociąg się zatrzymał, postać chwilę i ruszył w dalszą drogę. Ale w chwili ruszania jakiś jegomość w rozwianym popielatym płaszczu, z walizką w garści usiłował wskoczyć do wagonu, którym jechał pan Marchewka. Ryzykant poślizgnął się fatalnie i byłby wpadł pod koła, gdyby nie pan Tytus, który jak ryś rzucił się ku drzwom i wciągnął lekkomyślnego pasażera do środka.

— No, aleś pan miał szczęście, że stałem w pobliżu! — zawołał pan Marchewka, ocierając pot z czoła.

— Dzięki... dzięki serdecznie... — szeptał ze wzruszeniem pan w popielatym płaszczu, ściskając czule dłoń Tytusa. — *Pan mi uratował życie!*

Potem usiedli razem w przedziale.

— *Umbhnocki jestem* — powiedział niewyraźnie pan w popielatym.

— *Marchewka* — wyjaśnił pan Tytus.

W kwadrans później uratowany jegomość pytał swego wybawcę:

— A pan szanowny gdzie pracuje?

— W firmie „Pol-Hurt” we Lwowie...

— „Pol-Hurt”! — wykrzyknął uratowany dziwnie uradowany. — *To jest firma pana Dybalskiego, prawda?*

Pan Marchewka skłonił się mimowoli na dźwięk nazwiska szefa.

— Tak jest, pan Dybalski jest moim starym... To jest, chciałem powiedzieć, moim szefem...

— No, to kapitalne! — zawołał uratowany, klepiąc się po kolanie. — Niech pan sobie wyobrazi, że *Dyzio jest moim kolegą szkolnym!* Jakże się cieszę, że mogę się panu wywdzięczyc!

Jak tylko się z nim spotkam, a kto wie, czy umyślnie nie wpadnę do Lwowa, to zaraz mu powiem, żeby pana awansował... Jestem pewny, że zrobi to dla mnie! A narazie — niech mu się pan kłania ode mnie!

Gdy nazajutrz pan Marchewka przyszedł do biura, w głowie miał tylko jedną myśl: Żeby nie zapomnieć oddać ukłonów od uratowanego — szefowi. I co też z tego wyniknie?...

NIESAMOWITA ZACHCIANKA.



— Proszę mi zgolić całą brodę, bo przyszła mi straszna ochota na talerz zupy... (..Sontagsnisse Strix“).

Siedząc w kawiarni...

Wywiad z panem starszym.

— *Pól czarnej dla szanownego pana?* Pan szanowny zawsze wierny tej czarnej amantce, że tak powiem. Bo inni goście, to teraz nie — tylko to lody, to mazagran — a jeśli już kawę, to mrozoną...

— Ale robicie zato dobre interesy?

— Nie można narzekać, proszę pana. PIM z nami idzie ręką w rękę. Pogoda taka, że *non plusquamperfektum!* Człowiek nieby nie robił, tylko na leżaku w cieniu leżał i niebieskie migdały w cichości ducha rozpatrywał. Ja, proszę szanownego pana, najwięcej żałuję tych sportowców, którzy muszą po boisku biegać i za piłką ganiać...

— Widać, że pan interesuje się sportem?

— Faktycznie, proszę szanownego pana, wychowanie fizyczne mam na uwadze i popieram. To też z żoną całe popołudnie przy głośniku sterczeliliśmy, kiedy nadawali transmisję z meczu *naszych* z murzynami.

— Był taki mecz?

— To pan nie wie? Mecz był z *Brazylijczykami*. Bo to była taka kombinacja... *U nas każdy lubi kawę*, a jak nie kawę, to chociaż kawowe lody. I nasi zwiedzili się, że

Szef był tego dnia bardzo zaferowany. Szybkim krokiem przeszedł obok biurka pana Tytusa.

— *Panie szefie!* — zawołał urzędnik nieśmiało.

— *Słucham?* Tylko prędko, bo nie mam czasu!

— *Ja... ja właśnie mam dla pana szefa małe te... pozdrowienia... „Gruss aus“* — jak to mówią...

— *Od kogo?* — ostro rzucił szef.

— *Od... — i teraz pan Tytus zorientował się, że właściwie nie wie, jak się nazywa koleżka szefa, uratowany pan w popielatym płaszczu!*

Przełknął ślinę i rzekł niepewnym głosem:

— *Od pewnego pana, którego poznałem w pociągu... I właśnie on mówił, że jest kolegą szkolnym pana szefa... I tego... I właśnie...*

— *No dobrze* — burknął szef i odszedł szybko.

Pan Tytus był w siódmym niebie.

— *Teraz będę miał protekcję!* Będę awansował, jak *lux-torpeda!*

Tymczasem szef rozmyślał w swoim gabinecie:

— *Ladny gips!*... Jakiś kolega szkolny... Napewno napowiadał temu durniowi, że siedłem na samych dwójkach i że mnie z *szóstej klasy wylali!* I teraz cymbał będzie o tem rozповідаł, a ja przecież mówiłem, że *studjowalem w Sorbonie!*... A może jeszcze mu powiedział, że mój ojciec był *dorożkarzem* — kto wie, co taki osioł może naplotkować...

Szef tarł czoło dłonią. Był wściekły.

— *Ha, trzeba będzie tego idjotę wyrzucić!* Przynajmniej, jak się okaże, że rozповіда, co usłyszał od mojego kolegi, będę mógł powiedzieć, że właśnie za *niepoczytalne plotki* wylałem tyta!

Potem szef zadzwonił na woźnego i kazał poprosić pana Marchewkę. *Marchewka przyszła* — ale zaraz wyszła z ponurą miną: miał się bowiem zgłosić do kasy i odebrać pensję za trzy miesiące...

Gdy w tydzień później znajomy spotkał pana Tytusa w kawiarni, spytał go z niedowierzaniem:

— *Słyszałem, że pan szanowny dostał dymę!*... Ale nie mogę w to uwierzyć! Czy to prawda?

Pan Tytus odparł ponuro:

— *Tak jest, wyrzucili mnie!*

— *Dlaczego?* — zawołał znajomy ze zdumieniem.

Pan Tytus Marchewka uśmiechnął się gorzko.

— *Nie wiem!* — odparł, wruszając ramionami. — *Zdaje się, że przez protekcję!*...

BOGDAN BRZEZIŃSKI.

KOCHAJCIE ZWIERZĘTA.



— *Właściwie kupił tę derkę dla konia, ale tak mu się spodobała, że teraz sam w niej chodzi!*

(..Everybody's Weekly“).

FRASZKA.

Umarł głuchoniemy. Postawiono nagrobek, na nim słów było niewiele:

„*Ten człowiek nigdy nie pytał, co słycał — wdzięczni przyjaciele!*”

ZYGMUNT SENED.

Brazylijczyki kawę topią w morzu. Więc dalej-że grzać murzynów, żeby im raz na zawsze z głowy wybić ten głupi kawał! Murzyni wprawdzie naszych wykończyli sześć do pięciu, ale powiedzieli, że jesteśmy morowe chłopaki i już nigdy nie będą kawy niszczyli, skoro bracia Polacy tak ją lubią.

— *Ciekawe!*... A co pan powie o małżeństwie księcia Radziwiłła?

— *Uważa pan szanowny, ten ów książę wydaje mi się kropła w krople podobny do Samsona!* tamtemu fryzurer zgolił, to zaraz całkiem skapcał, a ten nasz Samson, jak sobie brodę przyciął, to zgłupiał ze szczętem! Prostu: nie ten sam Michał! Chcieli nawet podobnie pod psychiatryczną obserwację go oddać, że niby kto wie: może ma *kuku na mitrze!*... Ale co my *widziem?* Ledwie chłopu broda podrosła — zaraz mądry się okazał! Starozakonną narzeczoną w trąbę puścił, do Anglii bryknął i bogatą wdowę, co z milionami odłogiem leżała, do cywilnego urzędu zaprowadził. Wdowa ma wprawdzie 57 lat i jak na mój gust *ciut-ciut za dorosła*, ale podobnie na każdy rok wypadła u niej conajmniej milionik funkcjó-ków. Ho, ho, kto wie, czy ten książę nie żałuje nawet, że jego młoda małżonka nie liczy sobie *ze sto wiosen!*...

— *No, niech pan już da tę kawę!*

— *Przepraszam najmocniej, już podaję. Kawu rraz!*

STARY KON.

NIEFORTUNNY RYBAK.



— *Czy o tę rybkę panu chodziło?*...

(..Das Illustr. Blatt“).

MAŁY SPRYCIARZ.



— *Może pani pożycz mi łaskawie swego jasnego włosa, gdyż chcę wzbudzić zazdrość w Zosi, która jest brunetką!*

(..Köln. Illustr. Zeitung“).

POJEDYNEK KSIĘCIA

historja dla ludzi o silnych nerwach

AKT I.

KSIAŻE PAN: Co u diabła hogatego?! Pięć minut po szóstej, a mojego hywala jeszcze niema!

SEKUNDANT: Napewno przyjedzie lada sekundant!

KSIAŻE PAN: Punktualność jest cechą gentlemana! Skoho zatem mój hywał się spóźnił — *ehgo* nie jest gentlemanem i możemy spisać *jednosthonnny photokół!*

SEKUNDANT: Oho, już widać ich limuzynę! *Jadą co sto koni wyskoczy!*

KSIAŻE PAN: A więc za chwilę poleje się khew.

AKT II.

KSIAŻE PAN: Czy ma pan, doktorze, jodynę i bandaże?

DOKTOR: Oto jest *moja jodyna*, a tu — bandaże...

KSIAŻE PAN: Przydadzą się mojemu przeciwnikowi...

PRZECIWNIK: *Nie mów KOP, dopóki nie przekroczy* — jak mawiał pewien przemysłnik, przechodząc przez granicę!

SEKUNDANT: Panowie, na metę!

KSIAŻE PAN: Ile mamy *wdhożyć khoków?*

SEKUNDANT: Dwadzieścia — strzelacie panowie do pierwszej krwi.

KSIAŻE PAN: Gotowe! Phoszę dyhygować!

SEKUNDANT: Raz, dwa, iiiii — trzy!

PISTOLETY: *Pif, paf!*

KSIAŻE PAN: Umieham, *thafił mnie*, jak szczęśliwiec milion na lotehji!

LEKARZ: Nic księciu nie jest! Lekka rana! Ale co to, ach co to? Z rany sący się — *fioletowa krew!!!*

SEKUNDANT I PRZECIWNIK: Z jego rany sący się *fioletowa krew!* *Fenomen natury!*

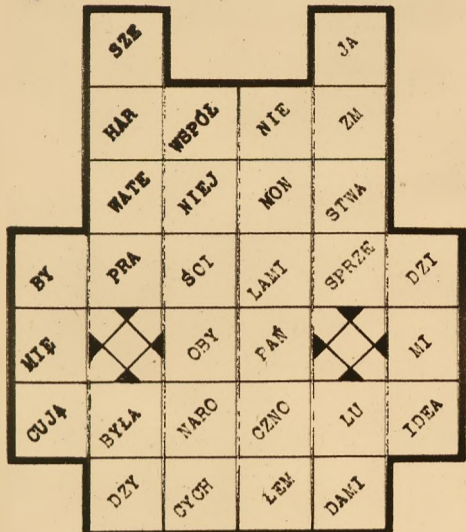
KSIAŻE PAN (*slabym glosem*): Fata mohgana, panowie. Zaden fenomen! Pophostu dwa lata temu przechodziłem ciężką opehację i hobiono mi thansfuzję khwi... Niestety — lekkomyślny chihuhg wziął khew ze zwykłego plebeusza... No, i gdy moja *blękitna khew* zmieszala się z jego *czehwoną* — powstała khew *fioletowa*, która panowie właśnie podziwiacie...
B. B.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Termin nadsyłania rozwiązań poniższych zagadek do dnia 7-go lipca 1938.

KONIKÓWKA

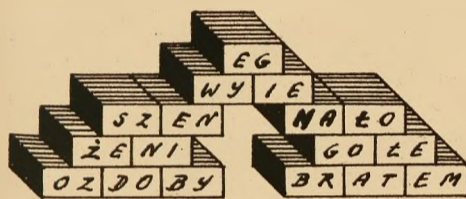
ul. W. G. — Kraków.



Ruchem konika szachowego obejść wszystkie pola i odczytać sentencję wypowiedzianą przez P. Prezydenta Rzplitej.

HOCKI-KLOCKI

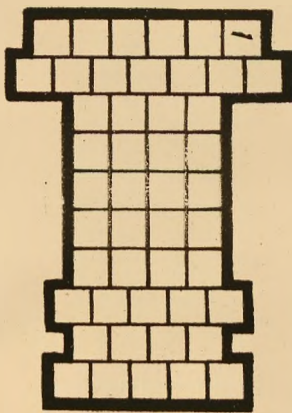
ul. F. Ludzki — Sobolew.



Kto cierpliwość z was posiada a i czasem rozporządza, niechaj klocki tak poskłada, aby, droższe od pieniądza, jedno z przysłów z nich ułożył i przed prawdą się ukorzył.

ELIMINATKA

ul. K. Dumski — Tarnopol.



W rzędkach poziomych wpisać wyrazy o podanym znaczeniu; następnie po odgadnięciu wyrazu pomocniczego, wszystkie litery, z których ów wyraz się składa, wykreślić z poszczególnych słów eliminatki a pozostałe litery dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) sprostowanie pozycji w rachunkowości, 2) pajac, 3) planeta, 4) urzędowy strój sędziego, 5) rodzaj linki cienkiej, metalowej (w jęz. obcym fonetycznie), 6) bez obuwia, 7) uporeczywy chwast polny, 8) państwo europejsko-azjatyckie, 9) duży ptak, brodzący, o rudo-rdzawym upierzeniu, poprzednio czarno pęgowanem, 10) zrzeszenie kilku przedsiębiorstw; wyraz pomocniczy: sufit.

SZARADA.

ul. F. Ludzki — Sobolew.

Złóż pierwszą z drugą, a każdy przyzna, że to nie lata, ani nie bliźna, choć wszyscy wiedzą, że w ciężkim czasie latwo ją znaleźć i na atlasie; trzecią wraz z drugą znajdzie w kościele,

kto nabożeństwa słucha w niedzielę; na czwartą z drugą każdy zasłuszy, gdy lekkomyślnie dziś się zadłużę; trzecia wraz z czwartą mineral znany, czasem za szybko jest używany; wszystko to sztuka wyrobów z gliny, znajdziesz ją w domu każdej rodziny.

— o —

Za rozwiązanie dwóch z powyższych zagadek, redakcja przeznacza sześć nagród w postaci książek beletrystycznych; rozwiązania należy nadsyłać w terminie zaznaczonym w nagłówku z dołączeniem kuponu, znajdującego się na str. 11-tej z podaniem dokładnego adresu.

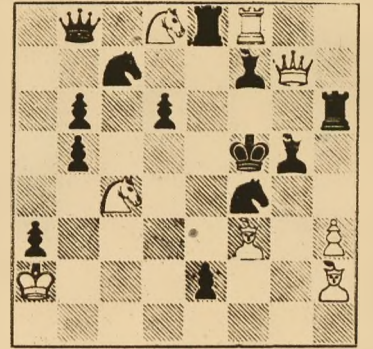
ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NRU 21.

LAMIGŁÓWKA WIOSENNA.

- 1) Jedno z najwcześniej zakwitających drzew, o purpurowych wiązkach kwiatów — wiąz (*Ulmus campestris*).
- 2) Tak dobrze znane pęcze, podobne do szyszynki chmielu, to kwitnący grab (*Carpinus betulus*).
- 3) Częściej krzaczasty, niż rosnący jako drzewo, wszystkim chyba doskonale znany, czarny bez lekarski (*Sambucus nigra*), który wypuszcza pączki tak wcześnie, iż częstokroć giną one od nawracających przymrozków.
- 4) Pęczki listków, kształtem przypominające kwiaty magnolji, to gałązka oliwy (*Alnus glutinosa*).
- 5) Na szarych gałązkach ciemne, prawie czarne pączki, to jesion (*Fraxinus excelsior*).
- 6) Czy to wierzba? Wierzba nie posiada błyszczących, jakby lakierowanych, trójkątnych, ostro zakończonych pączków: poznamy łatwiej, gdy po kilku dniach „bazię” lepiej się rozwiną — jest to gałązka osiki (*Populus tremula*).

Kącik szachistów.

ZADANIE SZACHOWE NR. 50.



Białe zaczynają i w dwóch posunięciach dają mat.

Duńczyk, K. U. K. Larsen z Hillerød otrzymał za powyższe zadanie w zeszłym roku w olimpijskich rozgrywkach drugą nagrodę.

7) Pozostały uschły, zeszłoroczny liść sprostuje omyłkę, jaką na pierwszy rzut oka mogliśmy popełnić, określając gałązkę jako wiśniową; jest to bowiem dąb królkoszypułkowy (*Quercus sessiliflora*).

SZARADA.

Makulatura.

Nagrody na rozwiązanie zagadek z Nru 21-go otrzymali pp. Anna Baruniak — Krosno; Jerzy Czerniewski — Kraków; Bolesław Gawlik — Sosnowiec; Marja Kostowska — Łódź; Edward Varisella — Puszczykowo Stare oraz Andrzej Zdanowicz — Częstochowa. Przyznane nagrody wyślemy w najbliższym czasie.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnieść niezwłocznie pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie do Administracji.

Rękopisów nadesłanych a niezamówionych Redakcja nie odyła i nie przyjmuje za nie żadnej odpowiedzialności.

WIANKI KRÓLOWEJ JADWIGI

(dokończenie ze str. 12-tej)

Zadźwięczał srebrny szelest. Poruszyły się brzegi. Wszystkie dziewczęta ujęły powiew śpiewu:

Hej lada lada! hej lada lada!
w murowanym dworze
w złocistej komorze
hej lada lada! hej lada lada!
gantami dwór pobity
srebrem kuty, perłami szyty,
hej lada lada! hej lada lada!
około dwora ziele
wij wianek na wesele —

Płynął wolno, nieustannie, rozjarzony, wiosenny, rozplatający barwne smugi, pełen utajonych żarów, królewski, unoszony falami świętej rzeki, przegładający się w ciemnej ukrytej głębi.

Hej lada lada! hej lada lada!
kotem wianeczku kotem
nad dziewczyniną czołem —

Z brzegów zęgnęła go pieśń dziewcząt, pieśń-tęsknota-pragnienie-przeżucie-lęk-radość-szczęście, nawoływana głosami ciepłymi, zamroczonemi, jakby to w kwietnych gąszczach wiosny śpiewano.

...letum lada!

Jadwiga zapatrzona, lekko poruszały się jej wargi. Nucąc, w coraz głębszych pograżała się uczuciach. Książę śliczny w noc się czerwcową przemieniał. Jeszcze spojrzenie zachwyczone zalsniło ku niej z błękitnych cieuiów. Jeszcze zabłysło w odbłasku zaszłego słońca.

I już nie było nikogo wyobrażonego. Było tylko niebo przechylające się na widnokręgu Wisły. Był tylko cień granatowy, który w oddali czekał i przyjmował do siebie koronę marzeń. Był tylko oddech, co się przybliżał, niewidzialny władca obrzędu, młody bóg wianków, który był jak technienie.

Wtem głośno okrzyki podniosły się z obu brzegów.
— Królowo, królowo! — zakrzyknęły dworki, garnąc się do niej.
— Na miły Bóg! A to co? — zawołał ktoś w gronie dworskiem.
Wianek królowej zapalił się i wystrzelił jasnym wysokim płomieniem. Od światła zajęły się wiazadła, ogień objął całą koronę, z trzaskiem paliły się gałązki, lampki pryskając rozlewały się ognisćcie, wstążki zwijały się w płomyki, trawka buchnęła ogniem i srebrne orzelki żywo zapłonęły.
W środku zarzyły się kwiaty, poczerwieniały im lodygi, a płatki jak blaszki z czerwonego złota. I ruta i barwinek i rozmaryn.
— Ofiara! — wołali ludzie, kolysząc się przed jasnym widokiem.
Tylko Jadwiga, niezmienną, pozostała duszą w podobłocznej miłości. Jedno tylko, że rozszerzone jej oczy bardziej zabłyszczały.
Gwiazdciarz z Uniwersytetu przybliżył się i zawrócił:
— Dobra wróżba.
Wzniósł się przeciągły, ofiarny śpiew nad dziewczęciami:

Hej lada lada! hej lada lada...

Po Wiśle płynął wianek płonący. Palił się ogień na wodzie. Otaczały go rozlane z lampek okrągłe ognie przeświecające w głąb ciemnej toni,

leżące na rzece palące się lilje wodne. I widać było jeszcze jak najwyżej ułożony błękitny wianuszek zajaśniał i rozwiewa się iskierkami w powietrzu.

W półprzytomnem uniesieniu smutek przejął Jadwigę. Znika szczęście? Przemija fala. Nie będzie już tej radości, co upaja? Wiosna pachnie. Królewska rzeka zabrała wianek. Szemrze fala wiślana.

Ogień ten płynął jeszcze po wodzie, A ponad nim cóż tam się dzieje dziwnego?! Jadwiga oczy na niebo podniosła.

W chmurze rozplamionej i w purpurze wypadł jeździec promienny. Za nim ta pogoń? Klebią się pod nim szkarłatne chmurzyska. Rycerz tarczę ma na rękę albo blask pożaruy od słońca. Zbroja na nim dziwnie połyska. Kopję ma z promienia. Godzi słonecznem ostrzem. Z wiślanej fali dobył ognistego wianka. Rycerz w pogoni za rucianym wiankiem?

Dwaj za nim archaniołowie. Z luną na świetlistych skrzydłach. Lecą przez pożar złościści.

Rumaki kopytami o grzbiet Wisły tłuką. Rozpryska się różowa piana. Koń rycerza nogi do skoku uniosł.

Rycerz miecz szczerbaty podniósł do góry, wtył go przechylił do cieżcia. Czy szczerbcem tak dowodzi? Z błyskawicą skoczył.

Dwaj go archaniołowie wiodą. Może panowie krakowscy? Czy archanioł Michał i Gabriel. Może Jaśko z Tęczyna i Kmita? Skrzydła mają. Rycerze skrzydłaci.

Ktoś od nich jechał brzegiem Wisły. Trzeci archanioł, Rafał. Albo Zawisza. Cały w błyszczącej czerni. Zawisza? Zawisza.

On jechał, Zawisza Czarny. Mijane po drodze płomieniste ognie rzucały świecenie na noc jego zbroi. Płynęła Wisła świecąca się, falowała blaskami. Wawel jarzył się wysoko pod gwiazdami.

Ogniska stawały słupami płomieni. Zapalano pochodnie. Kule złote kapaly do wody.

...hej lada, lada!

Jadwiga w olśnieniu, bielejąca na promie, objęta jasnymi światłami.

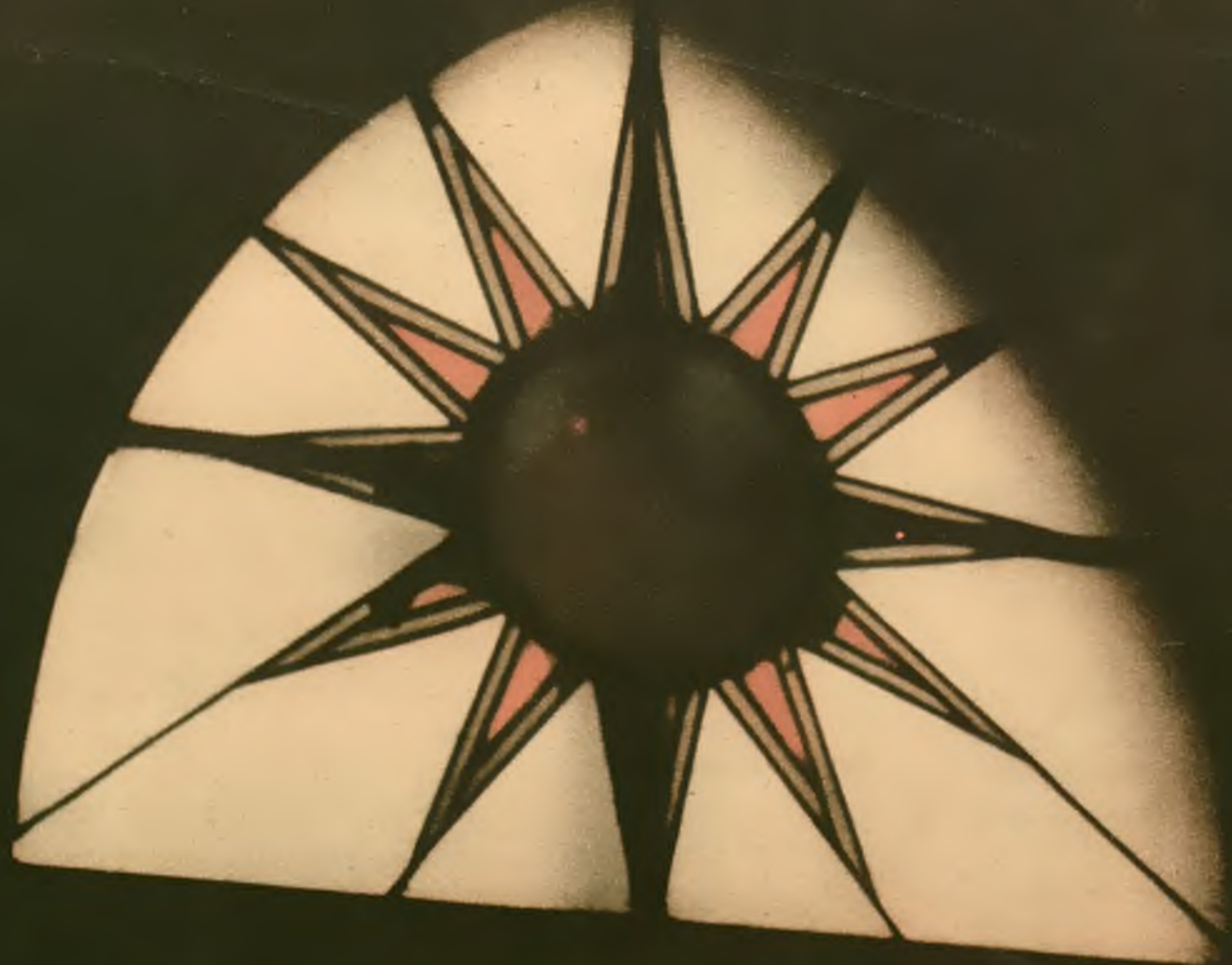
DZIWNNA HISTORJA (dokończenie ze str. 7-mej).

Poszedłem tam. Nic nie usprawiedliwiał mego niepokoju.
W owem mieszkaniu ktoś śpiewał cygańskie romanse.
Zły sam na siebie, zaczęłem dozorcę i spytałem wprost: czy w tym domu nie popełniono kiedyś zbrodni?
Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, chwilę zamyślił się, wreszcie odpowiedział ze zwykłym spokojem rosyjskiego „muzyka”: Zabili. Taak. Zabili. Będzie ze trzydzieści lat temu...
Tam, o (wskazał okno, o którym mowa). Taak. Pamiętam. Ja tu już służył wtedy... Jeden profesor zabił swoją kochanicę...
— Co się z nim stało? — zapytałem, czując, że dreszcz przebiega przez moje ciało.
— A, no, wiadomo — dostał dziesięć lat katoggi...
I... kiedy wyszedł po odcierpieniu kary?...
Ale, gdzie tam! Stary nie wytrzymał; po roku sumienie go zagryzło...
— Dziwne zdarzają się historie.
Wierzyć się nie chce. Czasem fantazja wkracza w sferę rzeczywistości, a rzeczywistość staje się fantazją...

„NA SZEROKIM ŚWIECIE“ wychodzi co tydzień w Krakowie, Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie.
Wydawca i redaktor naczelny: MARJAN DĄBROWSKI.
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW MRÓZ.

Adres Redakcji i Admin.: Kraków, ul. Wielopole 1, „Palac Prasy“. Tel. Redakcji Nr. 150-60; w nocy: 150-61, 150-62, 150-63. Oddz.: Warszawa, Krak. Przedm. L. 9, tel. 551-90, 551-91, 551-92, 551-93, 551-94, 551-95, 551-96, 551-97, 551-98, 551-99, 551-100. Poznań, św. Marcina 48, l. 1, 17-22. Wilno, Wileńska 26, tel. 14-82, 466. Katowice, Marjańska 13, tel. 306-53, 325-25. Łódź, Piotrkowska 116, tel. 179-48. N. Sącz, Jagiellońska 29, tel. 94. Sosnowiec, Pilsudskiego 8, tel. 62-529.

CENA POJEDYŃCZEGO Nru 30 GROSZY.
PRENUMERATA KWARTALNA WYNOŚI 3 ZŁ. 50 GR.
Ceny ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy, szerokość 1 łamy 60 mm, 1 milimetr w 1 łamie kosztuje 50 groszy. Cała strona 720 zł. — Konto czekowe 408.600. — Przekaz rozrachunkowy Nr. 4, przez Urząd Pocztowy Kraków 2.



„SPOJRZENIE Z POD GWIAZDY ŚW. FLORJANA“ (widok przez drzwi kaplicy w Bramie Florjańskiej na kościół Marjański i ulicę Florjańską; widać i Dom Matejki — na lewo)